NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 29 października 1910. Nr. 44.

Smutne następstwa zbrodni.

(Treść na str. 2)



Nr. 44. „Nowości Illustrowanych" zawiera: Balonem przez Ocean. — Nowy kościół w Kurowicach. — Śmierć władcy Syamu. — Największa armata na świecie. — Przed rozbiorem Persyi. — Choroba serbskiego następcy tronu. — Pamiątka Grunwaldu w Przemyślu. — Wiec oficyantów w Żywcu. — Misya japońska w Wiedniu.

Republika w Portugalii. (Szereg interesujących zdjęć z Lizbony).

Smutne następstwa zbrodni.

(Do illustracyi tytułowej).

Zaraz wówczas, kiedy rozeszły się pierwsze wieści o strasznych zbrodniach, jakich widownią był klasztor Paulinów na Jasnej Górze, podniesiono z wielu stron poważne obawy o dalsze losy tego pamiątkowego, historycznego miejsca. Przewidywano, że w sprawę gospodarki klasztornej będzie musiała wglądnąć władza świecka, przewidywano też, że nie będzie to ani pożądane ani pożyteczne ze stanowiska i religijnego i przedewszystkiem narodowego.

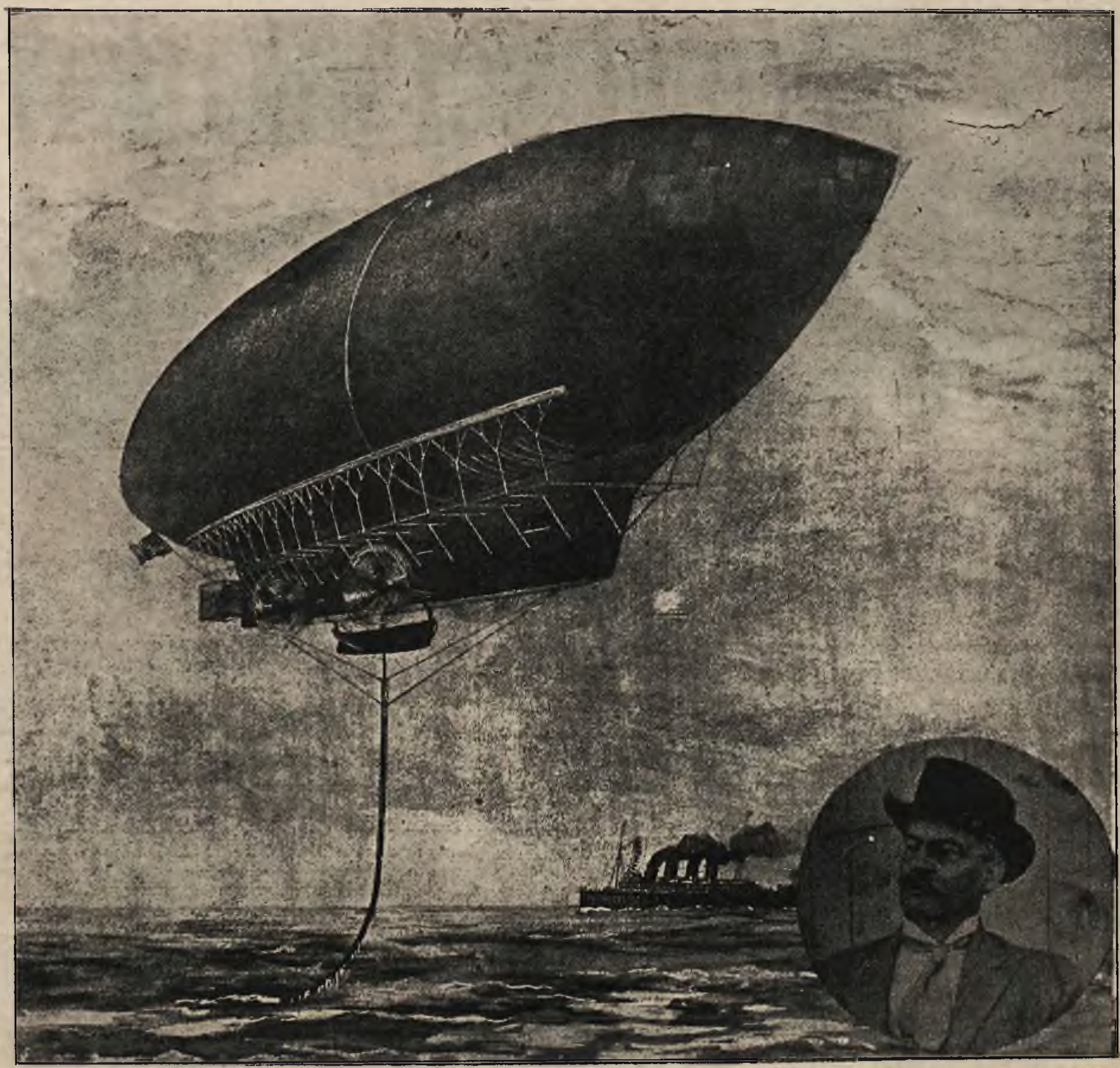


Pamiątka Grunwaldu w Przemyślu: Profesor Jan Raszka, twórca tablicy pamiątkowej.

Przewidywania te — niestety — bardzo rychło się sprawdziły. Minister spraw wewnętrznych wysłał do Częstochowy naczelnika wydziału w departamencie dla spraw duchownych w Petersburgu p. Pietrowa, który niezwłocznie rozpoczął działalność swą w klasztorze.

Pierwszem następstwem ingerencyi p. Pietrowa było uznanie zarządzeń ks. biskupa Zdzitowieckiego za nieważne i uchylenie ich, jakoteż usunięcie komisarzów biskupich z klasztoru. Nadto polecił p. Pietrow opieczętować skarbiec jasnogórski, oraz wszystkie księgi, aż do chwili ukończenia dochodzeń.

Bolesna to nad wyraz dla każdego Polaka myśl, że w miejscu najdroższych wspomnień narodowych, że w klasztorze jasnogórskim, który zawsze uważano u nas za serce Polski, urzędnicy policyjni muszą przeprowadzać dochodzenie i śledztwo przeciw kapłanom i zakonnikom polskim. Bolesna to i smutna rzecz, a niestety prawdziwa.



Balonem przez Ocean: Balon „Ameryka“, w którym aeronauta Wellman próbował odbyć podróż z Ameryki do Europy. U dołu portret Wellmana.

Paulini z Jasnej Góry zawinili też strasznie wobec całego narodu, dopuściwszy do tak okropnego rozluźnienia obyczajów wśród niektórych zakonników. Bo w tem rozluźnieniu obyczajów, w nieszanowaniu nietylko przepisów reguły zakonnej ale nawet zwyczajnych zasad moralności, szukać należy właściwego źródła zbrodni. Taki Damazy Macoch, mając pod dostatkiem jedzenia i picia, nie troszcząc się o żadne potrzeby, nie pracując ani się nie męcząc, myślał tylko o przyjemnościach i rozkoszach życia, a pragnąc ich coraz więcej i potrzebując na nie funduszów, kradł poprostu pieniądze klasztorne, składane tam przez ubogich pielgrzymów. Tak czynił on, tak czy-



Pamiątka Grunwaldu w Przemyślu: Tablica, przeznaczona dla katedry łacińskiej w Przemyślu na pamiątkę 500 rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem, wykonana przez prof. J. Raszkę.

nilo kilku innych, a reszta, choć nie brakło wśród nich ludzi bardzo bogobojnych, wolała przymknąć oczy na te nieprawości, niż wykryciem skandalów zdyskredytować swój zakon. Aż wrzód pękł i odsłonił całe bagno zepsucia.

I dziś muszą OO. Paulini przyjąć na siebie odpowiedzialność za skutki zbrodni kilku zakonników, za wmieszanie się do spraw klasztoru i kościoła na Jasnej Górze władzy świeckiej i narażenie przez to przyszłości świętego miejsca na wielkie niebezpieczeństwo.

Nasza rycina tytułowa przedstawia scenę opieczętowania skarbca na Jasnej Górze przez władze rosyjskie w obecności byłego przeora O. Rejmana.

Pamiątka Grunwaldu w Przemyślu.

Rok bieżący, poświęcony uczczeniu pamiętnego zwycięstwa pod Grunwaldem, dobiega końca. Nie było, zdaje się, miejscowości w kraju naszym, gdzieby tej wielkiej rocznicy nie uczczono; nawet za granicą, gdzie tylko kolonie polskie są liczniejsze, wszędzie o niej pamiętano.

Echem uroczystości grunwaldzkich będzie w najbliższą niedzielę wmurowanie na zewnątrz katedry łacińskiej w Przemyślu pamiątkowej tablicy, wykonanej przez znakomitego artystę-rzeźbiarza, prof. Jana Raszkę.

Tablica powyższa, bardzo udatne dzieło sztuki, ma dookoła napis: „Królowi Władysławowi Jagielle za nadanie praw 1389—1424 i fundacyę katedry 1412 — królowej Jadwidze za przywileje 1388 — w 500 rocznicę Grunwaldu — miasto Przemyśl 1910".

Inicyatywa do wykonania rzeczonej tablicy wyszła od przemyskiego „Kółka przyjaciół nauk", najwięcej zaś zasług w tym kierunku położyli pp.: architekt Kazimierz Osiński i mecenas dr. Leonard Tarnawski.

Miasto Przemyśl, wraz z kapitułą łacińską, ofiarowało znaczniejszą kwotę, uzupełnioną publicznemi składkami, na ufundowanie tej pięknej i patryotycznej pamiątki, która wykonana w bronzie, na zawsze będzie świadczyła o patryotyzmie i poczuciu estetycznem mieszkańców Przemyśla.

Balonem przez Ocean.

Wśród ogólnego zainteresowania laików a zupełnego sceptycyzmu fachowców, podjął niedawno aeronauta amerykański Walter Wellman podróż w balonie z Ameryki do Europy, ponad fale oceanu Atlantyckiego. Lot, jak z góry było do przewidzenia, nie powiódł się, Wellman zdołał bowiem przebyć zaledwie drobną część wytkniętej drogi, poczem musiał zrezygnować z osiągnięcia celu, tj. lądu europejskiego.



Nowy kościół w Kurowicach: Amatorska orkiestra kościelna z ks. proboszczem Zagrzejewskim w pośrodku.

Wellman przygotowywał się do podróży tej przez rok cały. Balon jego „Ameryka", zbudowany został przy nakładzie wielkich bardzo kosztów i zdolny był do długiego bardzo lotu, w warunkach jednak pomyślnych. Poniżej właściwego balonu umieszczona była łódka stalowa, mogąca pomieścić wygodnie 7 osób, oraz żywność dla nich na miesiąc czasu. Ponadto aeronauci zabrali ze sobą wiele przyrządów do czynienia obserwacyi i doświadczeń w czasie podróży napowietrznej.

Wzlot nastąpił w Atlantic City, gdzie na wiele godzin przedtem zgromadziły się ogromne tłumy publiczności.

W oznaczonej godzinie zajął Wellman wraz z sześciu towarzyszami miejsce w łodzi balonu, poczem wśród burzy oklasków i okrzyków balon wzniósł się w górę i popłynął w kierunku północno-wschodnim.

Za balonem pospieszyli przyjaciele Wellmana w automobilach i przybyli prawie równocześnie z nim do Long Island. Nie zatrzymując się nigdzie, balon popłynął dalej, nad ocean i zniknął wśród gęstej mgły.

Dalsze wiadomości o losie Wellmana dochodziły odtąd za pośrednictwem telegrafu bez drutu, w który balon „Ameryka" był zaopatrzony. Depesze te odbierały okręty, które w tym czasie znajdowały się na morzu.

Pierwsze doniesienia brzmiały względnie pomyślnie. Balon szybował szybko w właściwym kierunku i następnego dnia po rozpoczęciu podróży przeleciał ponad Nantucket. Wellman płynął wówczas z szybkością 25 mil angielskich na godzinę.

Później jednak warunki atmosferyczne zmieniły się na niekorzyść, balon zmienił kierunek lotu i płynął ku południowemu zachodowi. Ekwilibrator, służący do utrzymywania balonu w pewnej wysokości, leżał na falach i ciągnął tak silnie, iż groził niebezpieczeństwem rozbicia łodzi.

Wśród aeronautów powstały obawy, czy uda im się uniknąć niebezpieczeństwa, stąd wszyscy byli zdenerwowani i niespokojni. Widząc niepodobieństwo dotarcia w tych warunkach do Azorów, postanowili dotrzeć bodaj do wysp Bermudy. Chodziło o jak najdłuższe utrzymanie się w powietrzu i w tym celu wyrzucano z balonu rozmaite przedmioty, aby ulżyć ciężaru statkowi.

Sytuacya stawała się mimo to coraz okropniejsza i przerażenie poczęło ogarniać zbłąkanych żeglarzy napowietrznych. Postanowili stanowczo zarzucić myśl o dalszej podróży balonem i rozesłali szereg depesz z prośbą o pomoc w nadziei, że któ-



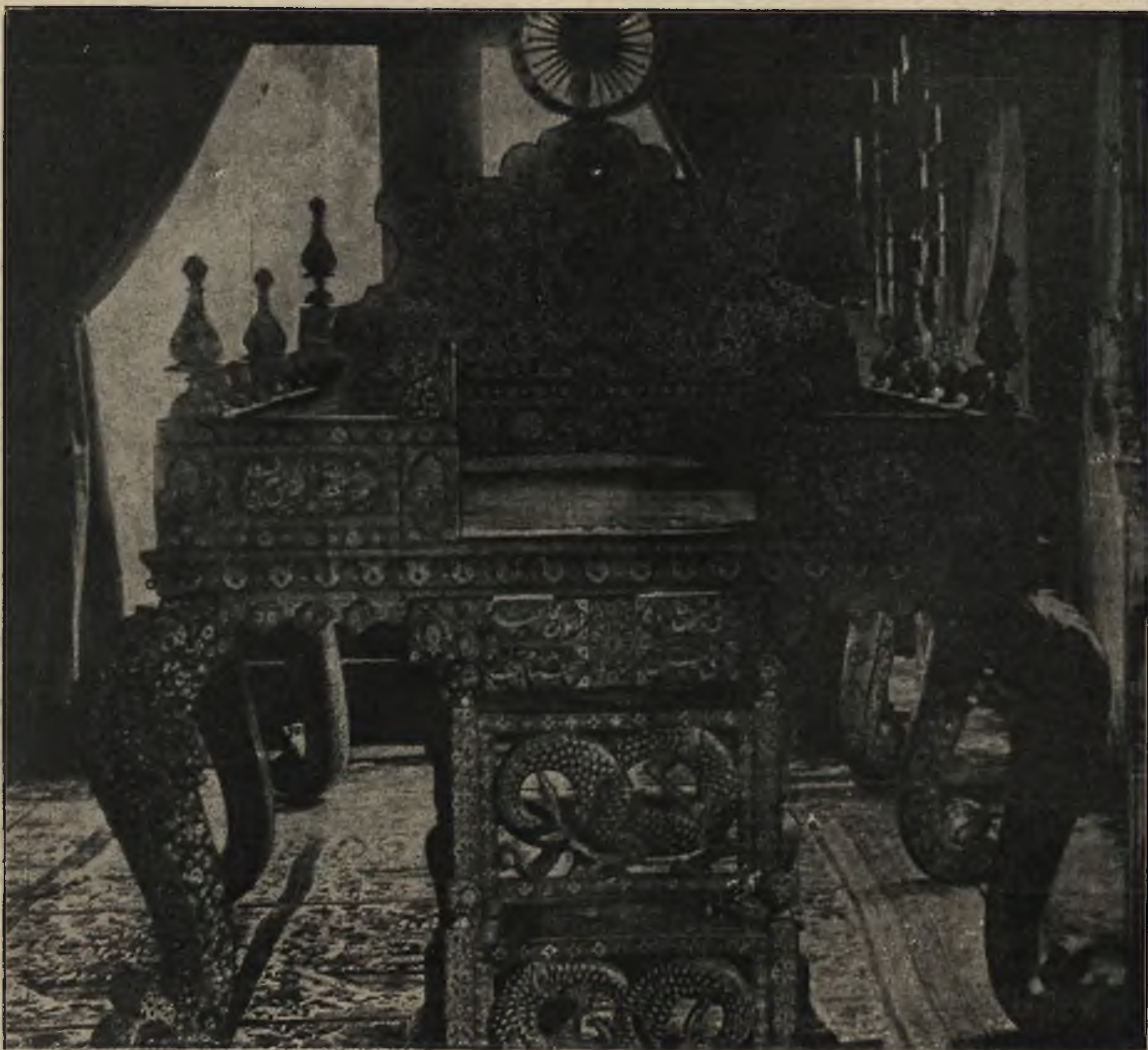
Nowy kościół w Kurowicach: Ukończony niedawno kościół parafialny w Kurowicach, wzniesiony ze składek ludności okolicznej.



Największa armata na świecie: Przewóz amerykańskiego działa z arsenału do doków.

ryś ze statków, krążących w pobliżu, depeszę odbierze i pospieszy z pomocą.

Istotnie ujrzano wreszcie na widnokręgu, w odległości dwu godzin jazdy, statek „Trent“. Statek ten przyjął na pokład pasażerów balonu „Ameryka“, sam balon zaś, uwolniony od ciężaru łodzi, poszybował w dal i przepadł bez śladu.



Przed rozbiorem Persyi: Pamiątkowy złoty tron szachów perskich

Jakkolwiek podróż Wellmana nie zakończyła się pomyślnym wynikiem i jakkolwiek dla nauki i postępu aeronautyki nie przedstawia prawie żadnego znaczenia, to przecież stanowi ona pewnego rodzaju rekord, balon „Ameryka“ bowiem pozostawał w powietrzu 70 godzin i przebył przeszło 1000 mil, czego dotychczas nikt nie dokonał.

Podobiznę balonu „Ameryka“ oraz portret Wellmana zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Wiec oficyantów w Żywcu.

W dniu 16 października br. odbył się w sali „Sokoła“ w Żywcu publiczny wiec oficyantów i pomocników kancelaryjnych wszelkich dykasteryi, zwołany przez krajowy Związek oficyantów i pomocników kancelaryjnych „Łączność“ dla Galicyi zachodniej wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem.

Zagajając obrady wiecu, powitał zebranych kolegów i obecnych posłów Krupkę z Suchej i Fijaka z Pietrzykowic wiceprezes Grzesiak i dziękując kolegom i posłom za przybycie, przedstawił cel wiecu, mianowicie stanowcze uregulowanie stosunków służbowych oficyantów i pomocników kancelaryjnych w najbliższej sesyi parlamentarnej, poczem na tegoż propozycyę przeprowadzono wybór prezydyum, w skład którego weszli jako przewodniczący pp. Władysław Giebułtowski i Trepka z Białej.

Referat na temat „Ustawowe uregulowanie stosunków służbowych oficyantów i pomocników kancelaryjnych a parlament“, wygłosił rzeczowo prezes związku Podgórczyk. Po wyczerpującej dyskusyi, w której głos zabierali pp. Fijak, Krupka, Grzesiak, Pawlak i inni, obrady wiecu zamknięto a dla upamiętnienia tegoż dnia przystąpiono do zbiorowego zdjęcia, którego reprodukcyę dziś zamieszczamy.

Nowa świątynia w Kurowicach.

We wsi Kurowice powiatu łódzkiego w gubernii piotrkowskiej ukończono niedawno budowę dużego i pięknego kościoła, wzniesionego dzięki niezmordowanym usiłowaniom miejscowego proboszcza ks. Zagrzejewskiego, kapłana wielkich cnót, oddanego całą duszą i sercem wzniosłemu swemu powołaniu.

Zacny ten kapłan potrafił do współpracownictwa około wielkiego dzieła zjednoczyć bardzo wielu włościan, z pośród których zawiązano komitet budowy kościoła. Komitet ten zebrał potrzebne fundusze i dzięki temu w krótkim stosunkowo czasie stanął w Kurowicach nowy, okazały dom Boży. Ponadto zorganizował ks. Zagrzejewski z pomiędzy włościan miejscowych bardzo dobrą orkiestrę amatorską.

Ks. Zagrzejewski, dokonawszy chwalebnie podjętego zadania, opuszcza posterunek swej przeszło 10 letniej działalności duszpasterskiej, powołany na administratora parafii w Piotrkowie Trybunalskim, osieroconej przez śmierć ks. kanonika Sałacińskiego.

Ludność Kurowic przyjęła wiadomość o bliskiem opuszczeniu jej przez ukochanego kapłana z głębokim i szczerym żalem, czego dowodem było uroczyste a bardzo rzewne pożegnanie przez całą parafię. Na pamiątkę pobytu i pracy w Kurowicach ofiarowali włościanie tamtejsi ks. Zagrzejewskiemu piękny kielich srebrny, wyzłacany, z odpowiednim napisem.



Fot. Strenger, Żywiec.

Wiec oficyantów w Żywcu: Grupa uczestników wiecu.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

22 (Ciąg dalszy).

— Siedmiu, mnie nie licząc. Raz tylko dobrano robotników Włochów do roboty przy podziemnym korytarzu w Garches.

— Dwa takie były podziemne ganki, prawda?

— Tak, jeden prowadził do pawilonu Hortensyi, drugi łączył się z tamtymi i wychodził pod pawilonem pani Kesselbach.

— Do czego one miały służyć?

— Chciano porwać panią Kesselbach.

— A gdzież jest tych siedmiu twoich towarzyszy z bandy Altenheima?

Dominik zawahał się.

— Opuściłem ich... nie wiem... — bąknął.

Zaszczyt ci przynoszą twoje skrupuły, Dominiku, ale gadaj...

Lupin rozłożył dwa bilety po sto franków.

— Odnajdzie ich pan — mówił Dominik — na ulicy de la Révolte Nr. 3 w Neuilly. Jeden z nich nosi przezwisko Rupieciarza.

— Doskonale. A teraz, jak brzmi prawdziwe nazwisko Altenheima?

— Ribeira.

— Dominiku, to się źle skończy. Ribeira, to tylko przybrane nazwisko. Pytam się o prawdziwe.

— Parbury.

— To także przybrane.

Kelner wahał się. Lupin rozłożył trzy bilety stufrankowe.

— A potem sza! — zawołał Dominik. — Ostatecznie on nie żyje... już naprawdę nie żyje!

— Więc jakże się nazywał?

— Nazywał się kawaler de Malreich.

Lupin aż skoczył na swojem krześle.

— Co? Coś ty powiedział? powtórz! Kawaler...

— Raul de Malreich.

Zapanowało milczenie. Z osłupiałym wzrokiem Lupin myślał o obłąkanej z Veldenz, która umarła, otruta. Izilda nosiła to samo nazwisko: Malreich. I to samo nazwisko nosił mały szlachcic francuski, który przybył na dwór książęcy w Veldenz w ośmnastym wieku.

— Jakiej narodowości był ten Malreich? — zapytał.

— Pochodzenia francuskiego, ale urodził się w Niemczech... Raz wpadły mi w ręce papiery... i stąd się dowiedziałem. Ach, gdyby on to był wiedział, byłby mnie chyba zadusił!

Lupin po namyśle pytał dalej!

— To on dowodził wami wszystkimi?

— Tak, on.

— Ale on miał wspólnika; towarzysza?

— Ach, zamilcz pan... zamilcz pan...

Na twarzy kelnera malował się przejmujący strach. Lupin wyczytał na niej ten sam strach i wstręt, jaki odczuwał sam na myśl o mordercy.

— Kto to jest? Widziałeś go?

— O, nie mówmy o nim... o nim nie trzeba mówić!...

— Kto to jest, pytam się ciebie!

— To pan... to wódz... nikt go nie zna.

— Ale tyś go widział. Odpowiadaj. Widziałeś go?

— Czasami, w ciemnościach... nocą, nigdy za białego dnia. Jego rozkazy dochodzą na karteczkach... albo przez telefon.

— Jak on się nazywa?

— Tego nie wiem. Mały jest, szczupły... blondyn...

— I zabija, nieprawdaż?...

— Tak, zabija... jak gdyby nigdy nic... sprawnie, cicho, gładko, tajemniczo...

Głos mu drżał. Szepnął błagalnie:

— Nie mówmy już o nim... mówię panu... to przynosi nieszczęście.

Lupin umilkł; strach tego człowieka pomimo woli robił na nim wrażenie.

Myślał dłuższą chwilę, wreszcie powstał i zwrócił się do kelnera:

— Oto masz pieniądze, ale jeżeli chcesz żyć w spokoju, najmądrzej zrobisz, jeżeli o naszem spotkaniu nie piśniesz ani słowa.

Wyszedł z restauracyi wraz z Dondeville'm i milcząc szli wzdłuż ulicy. Nareszcie ujął towarzysza pod ramię i rzekł:

— Słuchaj, mój drogi. Idź na dworzec Północny, zdążysz w sam czas na kuryer do Luksemburga. Jedź do Veldenz. W ratuszu z łatwością pokażą ci metrykę kawalera de Malreich i dadzą ci wyjaśnienie co do jego rodziny. Pojutrze, w sobotę, będziesz z powrotem. Zejdziemy się w południe w małej kawiarni na ulicy de la Révolte, nazywa się ta restauracya Buffalo. Przyjdź w przebraniu robotnika.

. . . .

Zaraz nazajutrz od rana Lupin w przebraniu prostego rzemieślnika rozpoczął poszukiwania swoje w Neuilly na rue de la Révolte pod numerem 3. Brama wjazdowa zamyka pierwsze podwórze, a w tem podwórzu mieści się całe miasteczko, szereg pasaży i warsztatów, rojących się ludnością rzemieślniczą, kobietami, wyrostkami. W parę minut umiał sobie zaskarbić sympatyę odźwiernej, z którą przegawędził z godzinę o najrozmaitszych przedmiotach. Podczas tego zauważył przechodzących trzech ludzi, których wygląd go zainteresował.

— To gruby zwierz — pomyślał — zdaleka zalatuje... po woni się to poznaje... Napozór porządni ludzie! Ale wzrok dzikiego zwierza, który wie, że nieprzyjaciel jest wszędzie i że każdy krok, każda kępka trawy kryć może zasadzkę.

Poszukiwania swoje ciągnął dalej popołudniu i w sobotę rano i upewnił się, że siedmiu wspólników Altenheima mieszkają wszyscy w tych zabudowaniach. Czterech z pomiędzy nich trudniło się handlem starzyzny, dwaj rozsprzedażą dzienników, a siódmy handlem rupieci i stąd też nazywano go Rupieciarzem.

Mijali się wzajemnie, jak gdyby się nie znali. Jednakże Lupin przekonał się, że wieczorem schadzali się w rodzaju szopy w głębi podwórza, szopy, w której Rupieciarz gromadził swoje towary, stare żelaziwo, zardzewiałe rury od pieców i t. p... i zapewne też różne kradzione przedmioty.

— No — myślał — posuwa się sprawa... Zażądałem miesiąca czasu, a tu dwa tygodnie wystarczą. I miło mi, że zacznę od tych łotrzyków, którzy mi urządzili kąpiel w Sekwanie. Gourelu, mój biedny stary, pomszczę cię nareszcie! A czas już przecież!

W południe wszedł do restauracyi Buffalo, gdzie w małej, niskiej salce murarze i woźnice schodzili się na obiad.

Ktoś przysiadł się do niego.

— Ach, to ty, Dondeville! Dobrze, ciekaw jestem. Wywiedziałeś się? Widziałeś metryki? Prędko odpowiadaj!

— A więc to tak: ojciec i matka Altenheima umarli zagranicą.

— Wiem.

— Zostawili troje dzieci.

— Troje?

— Tak. Najstarszy miałby dziś lat trzydzieści. Nazywał się Raul de Malreich.

— To byłby nasz Altenheim. Dalej.

— Najmłodsze dziecko, to córka, Izilda. W rejestrze świeżym atramentem dopisak „zmarła“.

— Izilda... Izilda — powtórzył Lupin — tego się domyślałem. Izilda była siostrą Altenheima... Ale tamto, to trzecie dziecko, a raczej drugie?

— Syn. Miałby obecnie lat dwadzieścia sześć.

— Jego imię?

— Ludwik de Malreich.

Lupin drgnął.

— Ot co! Ludwik de Malreich... Litery L. M... Morderca nazywa się Ludwik de Malreich... brat Altenheima i Izildy. I zabił oboje, by wydać go nie mogli...

— Czegóżby się mógł lękać ze strony Izyldy? Ona podobno była obłąkana?

— Obłąkana, to prawda, ale mogła pamiętać niektóre szczegóły z dzieciństwa. Mogła poznać brata, z którym się chowała... I to wspomnienie przypłaciła życiem.

— Obłąkana! — dodał — ależ ci wszyscy ludzie to szaleńcy. Matka waryatka... ojciec alkoholik... Altenheim bydlę zwyrodniałe... Izilda biedactwo o pomieszanych zmysłach... A tamten, morderca, to potwór z manią szaleńczą...

— Z manią szaleńczą, sądzisz mistrzu?

— Tak, to waryat, to maniak! Miewający przebłyski genialne, szatańską bystrość i intuicyę, ale okaz zwyrodniały, szaleniec, jak cała ta rodzina. Szaleńcy tylko mordują, zwłaszcza szaleńcy tacy, jak on. Bo przecież...

Przerwał i twarz jego skurczyła się tak, że Dondeville się zadziwił.

— Co się stało, mistrzu?

— Patrz.

III.

Wszedł mężczyzna jakiś, który zawiesił na kołku kapelusz — kapelusz czarny z miękkiego filcu. Usiadłszy przy małym stoliczku, przejrzał kartę, zamówił jedzenie i czekał nieruchomy, sztywny, złożywszy ręce na stole.

Lupin mógł się dokładnie przypatrzeć jego twarzy.

Była to twarz szczupła i sucha, zupełnie bez zarostu, o głębokich oczodołach, w głębi których leżały oczy szare, koloru stali. Skóra, rozpięta na kościach, jak pergamin, zdawała się tak twarda i zbita, że żaden włosek porosnąć na niej nie mógł.

I twarz tę powlekała grobowa martwota. Nie ożywiał jej żaden wyraz. Zdawało się, że pod tem czołem, jak ze słoniowej kości, nie gnieździ się żadna myśl. Bezrzęse powieki nie poruszały się wcale, a oczy miały sztywność wzroku posągu.

Lupin gestem przywzwał służącego.

— Któż jest ten pan?

— To nasz klient. Przychodzi tu dwa albo trzy razy w tygodniu.

— Wiesz pan, jak się nazywa?

— Ależ tak!... to pan Leon Massier.

— Ach! — szepnął Lupin wzruszony. — L. M... te dwie litery... czyżby to był Ludwik Malreich?

Lupin przyglądał się z chciwą ciekawością.

— Co on robi ten pan? — zapytał jeszcze.

— Doprawdy, nie umiem powiedzieć. To jakiś dziwaczny jegomość... Jest zawsze sam... nie mówi do nikogo... My tu nie wiemy nawet, jak brzmi jego głos... Palcem wskazuje na karcie, czego mu potrzeba... Nie minie dwadzieścia minut, a już zjadł, zapłacił, poszedł.

— I on tu przychodzi?

— Co cztery dni, co pięć dni... Rozmaicie.

— To on, to tylko on być może — powtarzał w duchu Lupin — to Malreich... To te ręce, co mordują... to ten mózg, co upaja się zapachem krwi... To ten potwór... to ten wampir...

— A jednak, czyż to podobna? Lupin w końcu tak przywykł uważać wroga swego za istotę zupełnie fantastyczną, że nie mógł się z tem pogodzić, że on chodzi, je i pije, jak pierwszy lepszy.

— Wyjdźmy już, Dondeville!

— Co panu jest, mistrzu? Tak pan pobladł?

— Muszę odetchnąć świeżem powietrzem. — Pójdźmy!

Na ulicy odetchnął głęboko, otarł czoło z potu i szepnął:

— Lepiej mi teraz. Tchu mi brakło.

I opanowawszy się, dodał:

— Zbliża się rozwiązanie. Od tylu tygodni walczę po ciemku z wrogiem niewidzialnym. A oto nagle los stawia go na mojej drodze! Teraz szanse zrównane.

W jakie dziesięć minut później Leon Massier wyszedł i oddalił się, nie uważając nawet, że ktoś idzie za nim. Zapalił papierosa i palił, jedną rękę założywszy w tył; szedł, jak gdyby spokojnie zażywał spaceru, słońca i świeżego powietrza, nie podejrzewając, że ktoś śledzi.

Przeszedł poza rogatkę, spacerował wzdłuż fortyfikacyj i wrócił znowu w te same strony.

Czy on też wejdzie do zabudowań pod numerem 3? Lupin gorąco tego pragnął, bo miałby pewny dowód wspólnictwa jego z bandą Altenheima; ale on zawrócił i wszedł w ulicę Delaizement. Szedł nią długo, aż doszedł do małego, odosobnionego pawilonu, otoczonego ogródkiem.

Leon Massier zatrzymał się, dobył pęk kluczy z kieszeni, otworzył najpierw furtkę, następnie drzwi pawilonu i zniknął.

Lupin zbliżył się ostrożnie. Zauważył zaraz, że nieruchomości ulicy de la Révolte przedłużały się od tyłu aż do muru ogródka.

Podszedłszy bliżej zobaczył, że mur ten by bardzo wysoki i że szopa zbudowana w głębi ogródka, dotykała tego muru.

Rozpatrzywszy się w miejscowości upewnił się, że szopa ta przytyka do szopy, stojącej w tylnem podwórzu numeru trzeciego, a będącej składem rzeczy Rupieciarza.

— Nie myliłem się, rzekł Lupin — Leon Massier i Ludwik de Malreich, to jeden i ten sam. Upraszcza się sytuacya.

— Tak — przytwierdził Dondeville — za kilka dni załatwi się już wszystko.

— Kto to wie! Ja zawsze miałem przeczucie, że ten potwór nieszczęście przyniesie!

. . . .

Odtąd chodziło o to, by poznać sposób życia Malreicha, by wiedzieć o czynach jego i ruchach.

Dziwaczne było to życie, jak świadczyli sąsiedzi, których Dondeville rozpytywał. Człowiek ten mieszkał tam od kilku miesięcy zaledwie. Nie widywał i nie przyjmował nikogo. Nie miał służącego.

A okna, stale, nawet nocą otwarte, ciemne zawsze były, nigdy ich światło lampy, ani świecy nie oświecało.

Tak więc Leon Massier zamieszkiwał dom przytykający do miejsca, gdzie gromadziło się siedmiu wspólników szajki Altenheima. Wynikało stąd, że Leon Massier był hersztem naczelnym, dowodzącym tą szajką i że komunikował się ze wspólnikami jakiemś przejściem, istniejącem pomiędzy dwiema szopami.

Zresztą najczęściej Leon Massier wychodził o zmierzchu, a wracał bardzo późno, niejednokrotnie o świcie.

— A czy wiadomo, co robi? — pytał Lupin swego towarzysza.

— Nie. Tryb jego życia jest nieregularny, znika czasem na kilka dni... a może raczej zamyka się u siebie. Ostatecznie nic o nim nie wiadomo.

— Otóż dowiemy się i to wkrótce.

Mylił się jednak. Po tygodniu usilnych starań i zabiegów, niczego się więcej nie dowiedział o szczególniejszym tym człowieka. Często, gdy tropił go zdaleka, tracił go nagle z oczu — widocznie znikał gdzieś w przechodniej jakiej kamienicy, a znów nie kiedy jakoby ulatniał się wśród tłumu. Wtedy Lupin wściekły, zawiedziony, biegł na ulicę Delaizement i stawał na swym posterunku. Upływały minuty, upływały kwadranse i godziny, noc nieraz zachodziła późna.

I nagle zjawiał się z powrotem tajemniczy człowiek.

— Gdzie on się przez ten czas podziewał? Co on mógł robić?

IV.

— Telegram miejską pocztą dla pana, mistrzu — rzekł Dondeville pewnego wieczora około godziny ósmej, odnalazłszy Lupina na ulicy Delaizement.

Lupin rozdarł kopertę. To pani Kesselbach wzywa go na pomoc.

O zmierzchu dwóch ludzi zatrzymało się pod oknami i jeden z nich mówił: „A więc umówione, zabierzemy się do niej dziś w nocy“. Zeszła na dół i przekonała się, że jedna z okiennic była otwarta i że dawała się zewnątrz otworzyć.

— No — rzekł Lupin — nieprzyjaciel, jak widzę, sam wydaje nam bitwę. Tem lepiej! Dość mi wyczekiwania pod oknami Malreicha!

— Czy on jest w tej chwili w domu?

— Nie, niema go, znowu mi zniknął i to w samym środku Paryża... Ale przedewszystkiem uważaj dobrze, Dondeville. Zbierz z dziesięciu naszych najpewniejszych ludzi i zaprowadź ich na ulicę des Vignes. Dwaj już są tam na straży. Porozumiej się z nimi i o wpół do dwunastej przyjdź złączyć się ze mną na rogu ulic des Vignes i Raynouard. Stamtąd czuwać będziemy nad domem.

Dondeville oddalił się. Lupin poczekał jeszcze z godzinę, aż spokojna ulica Delaizement opustoszała zupełnie, a potem, widząc, że Leon Massier nie wraca, zdecydował się wejść do pawilonu.

Nikogo naokół... Wyskoczył na kamienne podmurowanie furtki. W chwilę potem był na miejscu.

Miał zamiar wysadzić drzwi i przetrząsnąć pokoje w celu odszukania sławnych listów cesarza, zrabowanych przez Malreicha w Veldenz. Pomyślał jednak, że przedewszystkiem jeszcze należy zbadać szopę.

Zdziwił się bardzo, widząc, że szopa otwarta, że pusta zupełnie i że niema drzwi, wybitych w murze.

Szukał długo, lecz daremnie. Na zewnątrz jednak spostrzegł drabinkę, opartą o szopę, a służącą widocznie do wydostawania się na niski stryszek pod dachem tejże szopy.

Stare paki, snopki słomy, narzędzia ogrodnicze zapełniały ten strych, dostrzegł jednak wśród tych gratów przejście, prowadzące do muru. Na końcu przejścia w murze było okienko bez szyby.

Lupin żywo nacisnął sprężynkę latarni i spojrzał. Poza okienkiem była duża szopa, skład starego żelaziwa i innych przedmiotów.

— Otóż mam — pomyślał Lupin — to okienko wybite jest w ścianie szopy rupieciarza i przez nie to Ludwik Malreich widzi, słyszy i śledzi swoich wspólników, sam ani widziany przez nich, ani słyszany. Teraz rozumiem, jakim to się sposobem dzieje, że oni wodza swego nie znają!

Teraz zagasił światło i zamierzał wyjść, gdy w szopie naprzeciw otwarły się drzwi i ktoś wszedł. Zapalono lampę. Poznał Rupieciarza.

Lupin postanowił pozostać, gdyż i tak wyprawa nie mogła wyruszyć, dopóki Rupieciarz był w domu.

Rupieciarz wydobył z kieszeni dwa rewolwery, obejrzał je dokładnie, zmienił ładunki; robił to powoli, pogwizdując jakąś operetkową piosenkę.

Trwało to może z godzinę; wreszcie powoli uchyliły się drzwi i wszedł do szopy jeden z bandytów, potem drugi, trzeci, czwarty...

— Jesteśmy wszyscy — przemówił Rupieciarz.— Teodor i Grubas zejdą się z nami na miejscu. No dalej, nie traćmy czasu. Macie wszyscy broń?

— Jakżeby!

— To dobrze. Gorąca będzie przeprawa!



Była to twarz szczupła i sucha, zupełnie bez zarostu.

— A skądżeż wy to wiecie, Rupieciarzu, że będzie gorąca?

— Widziałem się z wodzem... Jeżeli mówię „widziałem się“, to tylko tak sobie... Ale mówił ze mną...

— Tak — zauważył jeden z ludzi — w ciemności, jak zawsze, gdzieś z za węgła... Ach, wolałem już sposoby Altenheima. Przynajmniej człowiek wiedział, co robi.

— A teraz to nie wiesz? — odpowiedział Rupieciarz. — Toż mamy grabić mieszkanie Kesselbachowej!

— A dwaj stróże? Te dwa draby, których Lupin ustawił na straży?

— Ci nam nie zaszkodzą... Siedmiu nas jest.

— A z Kesselbachową to jak?

— Najpierw zakneblować jej buzię, a potem sznur... i tu ją sprowadzicie... O, tu na tej starej kanapie ułożyć ją macie... Tu czekać będziecie na dalsze rozkazy.

— A czy dobrze on zapłaci?

— Przedewszystkiem dla was klejnoty Kesselbachowej.

— Tak, jeżeli się uda, ale co dostaniemy na pewno?

— Po trzy banknoty stufrankowe z góry dla każdego. A po wszystkiem, drugie tyle.

— Masz pieniądze w ręku?

— Mam.

— No to dobrze. Można sobie mówić, co się komu podoba, ale już jak chodzi o zapłatę, to nie znajdzie drugiego takiego.

I dorzucił tak cichutko, że Lupin ledwie dosłyszał:

— Ale powiedz jeszcze, Rupieciarzu, jeżeli przyjdzie wziąć się do noża, czy jest za to osobna premia?

— Tak, jak zawsze. Dwa tysiące.

— A jeżeli to Lupin?

— Za niego trzy tysiące?

— Ach, gdyby tego można dostać!

I jeden za drugim powychodzili z szopy.

Lupin usłyszał jeszcze te słowa Rupieciarza:

— Oto taki plan ataku: dzielimy się na trzy grupy. Gwizdek... i wszyscy marsz! naprzód!

Lupin śpiesznie wyszedł ze swej kryjówki, zszedł po drabince, obszedł pawilon, nie wchodząc do niego i znów przekroczył sztachety.

— Tak, prawdę mówił Rupieciarz, gorąca będzie przeprawa... A! do mojej skóry radziby się dobrać! Premia za Lupina! Łajdaki!

Wsiadł w autotaksametr.

— Na ulicę Raynouard!

Wysiadł na trzysta kroków od rogu des Vignes i dalej poszedł piechotą.

Ku wielkiemu swemu zdumieniu, nie zastał Dondeville'a na rogu ulicy.

— To dziwne — pomyślał — a przecież to już dwunasta... Coś mi to podejrzanie wygląda.

Poczekał cierpliwie dziesięć, potem dwadzieścia minut. Nikt się nie zjawił. Czekać dłużej było niebezpiecznie. Ostatecznie choć Dondeville ze swoimi nie stawił się, był przecież stary Charolais z synem, stojący na straży... we trzech odeprą atak, zwłaszcza z pomocą służby...

Ruszył tedy. Idąc jednakże, zauważył dwóch ludzi, skradających się w cieniu. Poznał w nich forpoczty szajki, Teodora i Grubasa.

— Oj, do licha! — szepnął — a tom się zapóźnił.

Nagle odezwał się świst gwizdawki gdzieś z drugiej strony domu. Na ten znak, dwaj ludzie przyśpieszyli kroku i wskoczyli przez otwarte okno.

Lupin rzucił się, wskoczył na balkon i dostał się do sieni. Po odgłosie kroków miarkując, wnosił, że napastnicy przeszli do ogrodu; to go uspokoiło. Stary Charolais i syn jego musieli także słyszeć sygnał...

Wybiegł więc na górę po schodach. Pokój pani Kesselbach znajdował się na pierwszem piętrze. Wbiegł tam pośpiesznie.

Przy świetle nocnej lampki ujrzał Dolores, leżącą na otomanie, zemdloną. Rzucił się ku niej, uniósł ją i głosem rozkazującym zmusił ją do odpowiadania.

— Gdzie Charolais? Gdzie jego syn? Gdzie oni są?

— Jakto? — szepnęła. — Przecież odeszli...

— Co? Odeszli?

— Pan pisał do mnie... godzinę temu... telegram nadany telefonem...

Podniósł leżącą obok niebieską kartkę i czytał: „Niech pani natychmiast odeśle obu stróżów i wszystkich moich ludzi. Czekam ich w Grand Hotelu. Niech się pani niczego nie boi“.

— Do stu piorunów! I pani uwierzyła! A służba pani?

— I oni sobie poszli.

Lupin podszedł do okna. Trzech ludzi nadchodziło z głębi ogrodu.

Przez okno sąsiedniego pokoju, wychodzące na ulicę, ujrzał zbliżających się jeszcze dwóch.

Pomyślał o Teodorze, o Grubasie, a zwłaszcza o Ludwiku Malreich, który prawdopodobnie snuł się gdzieś w cieniu, straszny, niewidzialny.

— Niema co — szepnął — zaczynam przypuszczać, że tym razem jestem zgubiony...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Smierć władcy Syamu.

Z dalekiego Syamu nadeszła wiadomość, iż zmarł tam władca państwa syamskiego, Chulalongkorn, jeden z najbogatszych monarchów na Wschodzie. Król Chulalongkorn należał do ludzi zeuropeizowanych, do czego przyczynił się niewątpliwie jego dwukrotny pobyt w Europie. W obejściu był uprzejmy



Śmierć władcy Syamu: Zmarły król syamski, Chulalongkorn.

i dostępny, nosił mundury, wzorowane na mundurach europejskich, słowem na zewnątrz nie zdradzał zupełnie pochodzenia z rasy wschodniej.

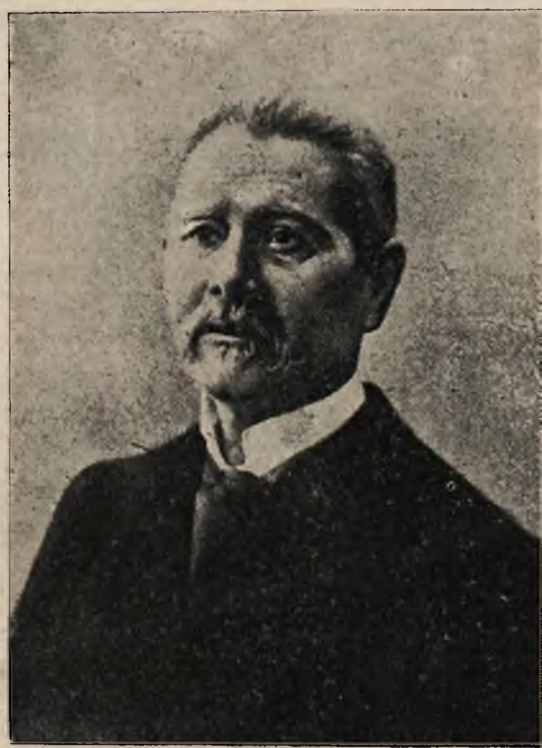
Także pałac jego w stolicy państwa Bangkok odznaczał się urządzeniem pełnem smaku, a przepych, jaki był widoczny na każdym kroku, świadczył wymownie o bogactwach króla Syamu.

Ostatni raz bawił Chulalongkorn w Europie przed trzema laty, szukając tu porady lekarskiej w swoich dolegliwościach. Początkowo stan jego zdrowia istotnie po kuracyi wedle wskazówek europejskich lekarzy poprawił się znacznie, w ostatnich czasach jednak przyszło znowu pogorszenie, aż w ubiegłym tygodniu śmierć przerwała jego cierpienia.

Republika w Portugalii.

Dawno już nie notowały kroniki dziejowe tak cichej, tak spokojnej i z taką godnością i powagą przeprowadzonej rewolucyi, jak zmiana formy rządu w Portugalii. Mogło się to stać tylko dzięki temu, iż idea republikańska objęła tam wszystkie sfery ludności, że przeniknęła także armię lądową i marynarkę, gdyż rządy dynastyi Braganzów dały się całemu krajowi zbyt dotkliwie we znaki, by je chciał i mógł dłużej znosić.

Rządy te pogrążyły Portugalię, kraj niegdyś kwitnący dobrobytem, w ostateczną nędzę i ciemnotę,



Republika w Portugalii: Prezydent prowizorycznego rządu republikańskiego, dr. Teofil Braga.

tak że pragnienie zmiany stosunków stało się powszechne. Więc gdy grono republikańskich przywódców podniosło hasło oswobodzenia kraju od rządów znienawidzonej dynastyi i zaprowadzenie rządów republikańskich, przy sztandarze królewskim stanęła zaledwie garstka oficerów i żołnierzy, reszta zaś z ogromnym entuzyazmem i zapałem oświadczyła się za republiką. W ten też sposób uniknięto prawie zupełnie wojny domowej i rozlewu krwi w całej Portugalii, a tylko w samej Lizbonie przyszło do kilku utarczek o krwawym wyniku. Strzały działowe, jakie w dniu wybuchu rewolucyi padły w stolicy państwa, skierowane były nietyle przeciw ludziom, ile przeciw kilku gmachom rządowym, przedewszystkiem przeciw pałacowi królewskiemu, który też w części zniszczono.

Ta męska, dzielna postawa rewolucyonistów, przy równoczesnem unikaniu rozlewu krwi, co objawiło się przedewszystkiem w zezwoleniu na ucieczkę króla Manuela II. z całą rodziną, zjednała im uznanie i sympatyę w całym świecie.

Wpłynęła też niewątpliwie na to, iż mocarstwa europejskie przyjęły do wiadomości zmianę rządu w Portugalii bez opozycyi i uznały zmieniony stan rzeczy.

Były jednak chwile podczas rewolucyi w Lizbonie, kiedy wydawało się, że wybuch wojny domowej jest nieunikniony. Partya republikańska, zjednawszy na rzecz swej idei przeważną część armii lądowej i marynarki, postanowiła w razie ostatecznej konieczności nawet z bronią w ręku wywalczyć oswobodzenie Portugalii i poleciła oddanym sobie oddziałom wojska wyruszyć na ulice miasta, celem zgniecenia ewentualnego oporu partyi rojalistycznej. To też niektóre strony miasta zaroiły się od żołnierzy oraz od uzbrojonych cywilnych republikanów, powznoszono barykady, poobsadzano najważniejsze budynki i gmachy w mieście i w ten sposób zapewniono zwycięstwo partyi republikańskiej. Przyszło bowiem w kilku miejscach do utarczek, ale wobec liczebnej przewagi rewolucyonistów, wobec zapału, z jakim oni szli do walki, nieliczna garstka zwolenników dynastyi Braganzów musiała uledz i zrezygnować z obrony tronu królewskiego.



Republika w Portugalii: Sztandar republikański na czele oddziału wojska.

Ludność Lizbony z ogromną radością powitała rewolucyę i na widok sztandarów republikańskich, zwiastujących jej oswobodzenie i wolność, wznosiła radosne okrzyki i otaczała tłumnie żołnierzy republikańskich.

Tak samo gorąco i serdecznie witała ludność Lizbony przedstawicieli ruchu republikańskiego, redaktorów pism republikańskich, wogóle wszystkich tych, którzy przyczynili się do zmiany porządku rzeczy w Portugalii. Scen prawdziwie wzruszających i podniosłych dużo było w tych pamiętnych dniach w stolicy państwa, w dniach rewolucyi, w dniach ogłoszenia republiki.

Osobą zdetronizowanego króla Manuela nie wiele się interesowano. Pozostawiono mu swobodę ruchów poza granicami państwa, pozwolono oddać się umiłowanym zabawom i miłostkom, o ile tylko fundusze jego pozwolą na dalsze stosunki miłosne ze śpiewaczkami i szansonistkami, w guście słynnej dziś



Republika w Portugalii: Zniszczony w czasie bombardacyi dom w Lizbonie.



Republika w Portugalii: Oddział artyleryi, wiernej królowi.

Gaby Deslys, ostatniej „przyjaciółki“ Manuela II., występującej obecnie w pewnem Variete w Wiedniu. Manuel nie próbował nawet oporu, poddając się biernie smutnemu losowi. Natomiast wuj jego, ks. Alfons Oporto, stanął na czele garstki wiernych żołnierzy i stoczył walkę z rewolucyonistami, musiał jednak ustąpić i następnie opuścił kraj.

Miejsce króla i jego gabinetu ministeryalnego zajął rząd republikański, na razie prowizoryczny, z wybitnym mężem stanu, dr. Teofilem Bragą jako prezydentem na czele.



Republika w Portugalii: Żołnierze republikańscy.

Nowy ten rząd wziął się energicznie do zaprowadzenia ładu i porządku w państwie, dążąc nietylko do zupełnego uspokojenia kraju ale i do wzmocnienia powagi władzy państwowej.

Jednym z pierwszych kroków rządu republikańskiego były rozporządzenia, zwrócone przeciw zakonom i klasztorom portugalskim. Portugalia, podobnie jak Hiszpania, była krajem nawskróś klerykalnym, a wpływy duchowieństwa świeckiego i zakonnego były tam bardzo wielkie. Obecnie stosunki się zmienią, nowy rząd bowiem skasował mnóstwo klasztorów, zakonnikom polecił opuścić granice kraju, a majątki ich skonfiskował. Szczególnie ostre stanowisko zajęli republikanie wobec Jezuitów, których nawet kilku uwięziono, aby następnie pod strażą wywieść za granicę.

Tymczasem były król portugalski Manuel II., opuściwszy granice ojczystego kraju, schronił się w Gibraltarze pod opiekę Anglii. Z pobytu tam exkróla Manuela II. mamy zdjęcie, przedstawiające go w chwili, gdy po nabożeństwie opuszcza progi tamtejszego kościoła.

Poza tem zdjęciem zamieszczamy szereg innych interesujących zdjęć z Portugalii z okresu wrzenia rewolucyjnego. Otrzymaliśmy je już przed kilkunastu dniami, wobec jednak mnóstwa zdjęć, odnoszących się do sprawy zbrodni na Jasnej Górze oraz innych aktualnych rzeczy krajowych, dotąd nie mogliśmy ich zużytkować.

Nowy dyrektor konserwatoryum warszawskiego.

Konserwatoryum warszawskie otrzyma nowego dyrektora w osobie znakomitego skrzypka, znanego wirtuoza i pedagoga, Stanisława Barcewicza. Nazwisko i sława tego muzyka stanowią poważną rękojmię, iż ta instytucya warszawska pod jego kierownictwem rozwijać się będzie pięknie, z wielką korzyścią dla polskiej muzyki.

Stanisław Barcewicz święci w tym roku podwójny jubileusz. Trzydziestopięciolecie pracy artystycznej a dwudziestopięciolecie działalności pedagogicznej, nadzwyczajnie wydatnej i skutecznej. Powołanie go na dyrektora instytucyi, w której od tylu lat pracował, zeszło się w ten sposób z rocznicą objęcia w niej obowiązków profesorskich.

Nowy dyrektor konserwatoryum warszawskiego urodził się w Warszawie 1851 r. i tam rozpoczął się kształcić na muzyka. Następnie wyjechał do Moskwy, na dalsze studya w tamtejszem konserwatoryum. W r. 1876 zdobył rzadkie tam odznaczenie, mianowicie złoty medal. Dodać zaś trzeba, że był uczniem dwu tak wybitnych sił nauczycielskich, jak prof. Laube i Czajkowski.

Po ukończeniu konserwatoryum odbył Barcewicz *tournée* artystyczne, budząc wszędzie, gdzie występował, podziw i uznanie dla swej przepięknej gry. Toż samo powodzenie towarzyszyło mu w czasie wycieczki artystycznej po miastach niemieckich, gdzie występował ze znakomitym pianistą Michałowskim.

Następnie osiadł w Warszawie na stałe i odtąd nie rozstał się ze swem rodzinnem, ukochanem miastem, wyjeżdżając chyba tylko na krótkie wycieczki artystyczne. W Warszawie zajmował dotąd stanowisko koncertmistrza oraz dyrektora orkiestry opery warszawskich teatrów rządowych, a nadto profesora wyższej gry skrzypcowej w konserwatoryum tamtejszem.

W ciągu ćwierćwiekowej pracy na tych stanowiskach, zjednał sobie Barcewicz nietylko ogólne uznanie, ale i sympatyę powszechną, jako człowiek ogromnie ujmujący w obejściu, uczynny i przystępny, a przytem niezwykle skromny. Talent to artystyczny wielki, wirtuoz nieprzeciętnej miary, pedagog znakomity, to też wiadomość o powołaniu go



Republika w Portugalii: Wuj byłego króla Manuela, ks. Alfons Oporto.

na dyrektora konserwatoryum spotkała się wszędzie z jak najlepszem przyjęciem.

Przed rozbiorem Persyi.

Zbliża się chwila bardzo pod względem politycznym doniosła. Koniec samodzielności i niezawisłości państwa perskiego, państwa jednego z najstarszych w świecie, niegdyś ogromnie potężnego, o wysokiej bardzo kulturze i cywilizacyi. Z biegiem wieków atoli Persya podupadła, zeszła do rzędu państw drugo, a nawet trzeciorzędnych, z którego opinią nikt się nie liczył. Ciągłe zamieszki i anarchiczne wprost stosunki wewnątrz wielkiego kraju, pozwoliły mocarstwom sąsiednim, Anglii i Rosyi, mięszać się do jej wewnętrznych spraw i wpływać na rząd perski decydująco.

Persowie sami próbowali w ostatnich czasach zaradzić złemu przez zmianę osoby panującego i usunęli szacha Mahometa Alego, na jego miejsce zaś powołali młodego syna jego, Alego Mirzę. Nie wiele to pomogło i stosunki wewnątrz państwa wcale się nie poprawiły.

Wobec tego sąsiadująca przez swe kolonie z Persyą Anglia, wysłała do rządu perskiego notę, w której zapowiada, że jeśli w ciągu trzech miesięcy w prowincyach południowych Persyi nie zapanuje spokój i porządek, utworzy tam miejscowe oddziały policyjne pod dowództwem angielskich oficerów, a gdyby i to nie pomogło, wprowadzi w granice Persyi swoje wojska.



Republika w Portugalii: Dziennikarze republikańscy, witani w ulicach Lizbony przez rozentuzyazmowaną ludność.

Zapowiedź Anglii nie zawiera na oko nic bardzo groźnego. W rzeczywistości jednak — i takie jest ogólne zdanie — jest to pierwsza zapowiedź bliskiego rozbioru tego państwa. Jest bowiem rzeczą jasną, że ani w ciągu trzech miesięcy, ani nawet trzech kwartałów, Persya nie zdoła uporządkować stosunków na południu państwa. A stan anarchii w Persii ma właśnie posłużyć sąsiednim mocarstwom za pretekst do podziału i rozbioru tego odwiecznego państwa. Spodziewać się należy, że Anglia zagarnie południową część Persyi, Rosya zaś północną.

Czy atoli zamiary tych dwu mocarstw będą się mogły spełnić, jest rzeczą jeszcze wątpliwą. Po pierwsze bowiem Persowie będą bronić do ostatniej kropli krwi resztek swej samodzielności, a powtóre inne mocarstwa, w szczególności Niemcy, gotowe stanąć w obronie Persyi, i nie dopuścić do jej podziału ze względu na swoje własne interesy.



Republika w Portugalii: Jeden z najwybitniejszych republikanów portugalskich, Lima.



Republika w Portugalii: Uwięzienie pewnego Jezuity w Lizbonie.

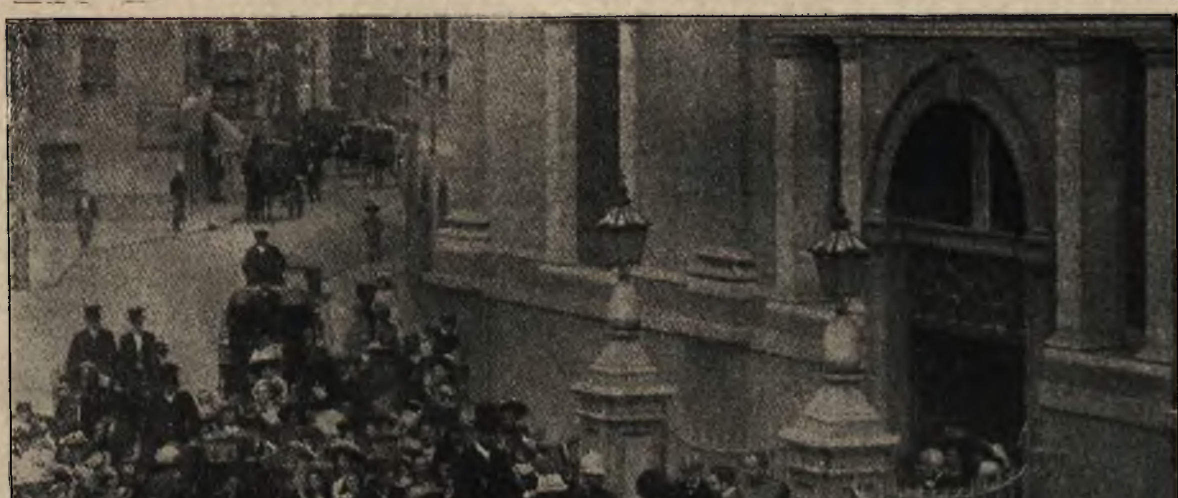
Największa armata na świecie.

Pokój światowy wymaga coraz to większych wysiłków finansowych poszczególnych państw, co doprowadzi rzeczywiście kiedyś do celu, ruina bowiem finansowa uniemożliwi absolutnie prowadzenie wojny. Na tem polu ubiegają się też wszystkie mocarstwa światowe o rekord, wymyślając coraz to nowe urządzenia wojenne, pochłaniające miliardy. Rozwój żeglugi napowietrznej zepchnął na razie inne działy obrony i ataku na drugi plan, całą pomysłowość skierowano na wynajdywanie najbardziej ulepszonych balonów i aeroplanów, jak również środków ochronnych przeciw ich pociskom.

Mocarstwa, których interesy wymagają starań o rozwój marynarki, nie spuszczają jednak z oka floty morskiej i starają się o pierszeństwo na tem polu. Dreadnoughty, prawdziwe kolosy morskie, pochłaniają ogromne sumy, nawet Austrya, aby utrzymać swą przewagę na morzu Adryatyckiem, ma w projekcie budowę aż szesnastu tych olbrzymów! W miarę tego ulepszanem musi być także i uzbrojenie tych okrętów.

Dotychczas rekord światowy na tem polu zdobyły sobie Niemcy, właściwie fabryka Kruppa w Essen, z której warsztatów wyszło działo czterdziesto dwu centimetrowe. Obecnie donoszą o pobiciu go przez marynarkę Stanów Zjednoczonych, która dla jednego z będących dopiero w budowie dreadnoughtów skonstruowała działo o średnicy otworu 45 cm. Kolos ten waży *tylko* 63 1/3 tonn, czyli 663 cetnarów metrycznych, a posiada lufę o długości pięćdziesięciu trzech stóp i trzech cali. Do wyrzucenia pocisku, ważącego znów *tylko* tysiąc czterysta funtów, potrzeba 370 funtów prochu. Przebija on na odległość 9000 yardów płyty pancerne o grubości dwunastu do szesnastu cali, najgrubsze więc, jakich używa się dla ochrony pancerników.

W celu przewiezienia owej zabawki z arsenału, gdzie ją zbudowano, do doków, w których kończy się ów pancernik, użyć musiano specyalnie skonstruowanych wozów kolejowych, zwykłe bowiem nie wytrzymałyby ani ciężaru armaty, ani też niepomieściłyby jej na sobie.



Republika w Portugalii.: B. król Manuel II. (X) przed kościołem w Gibraltarze.



Przed rozbiorem Persyi: Szach perski Achmed-Mirza.

Japońska misya wojskowa w Austryi.

Od czasu wojny japońsko-rosyjskiej mało dotychczas znana Japonia stanęła w rzędzie pierwszorzędnych potęg militarnych świata. Doświadczenia, poczynione podówczas, stały się podstawą reorganiza-



Republika w Portugalii: Szansonetka Gaby Des'ys, ostatnia „przyjaciółka“ b. króla Manuela II.

cyi wszystkich prawie armii europejskich, każda z nich wprowadzała u siebie ulepszenia, znane już przedtem Japończykom i na nich wzorowała swe najnowsze urządzenia. Na studya wysyłano do Japonii specyalne misye wojskowe, po długich staraniach udało się nawet otrzymać pozwolenie, by jeden z austryackich oficerów jeneralnego sztabu odbył praktykę wojenną w armii japońskiej, gdzie przydzielono go jako komendanta batalionu do jednego z tamtejszych pułków piechoty.

Ale i Japończycy, choć okazali taką przewagę nad Europą, nie lekceważą sobie wcale postępów, jakie czynią armie europejskie i stale wysyłają do tak zwanego „cywilizowanego“ świata misye wojskowe na dalsze studya. Niema prawie roku, by



Nowy dyrektor konserwatoryum warszawskiego: Stanisław Barcewicz.

podobna ekspedycya nie odwiedziła Europy. W swej podróży zatrzymuje się zaś najdłużej w Wiedniu i Berlinie, badając ze szczególniejszą troskliwością i uwagą tamtejsze urządzenia militarne, aby potem zastosować u siebie to, co uzna za korzystne i pożyteczne, a wystrzegać się wszystkiego, co do celu nie prowadzi.

Taka właśnie misya pod kierownictwem jenerała piechoty, hrabiego Nagachi Kawamura, odwiedziła w ubiegłym tygodniu Wiedeń i przyjętą została przez cesarza Franciszka Józefa na specyalnem posłuchaniu. W towarzystwie jenerała znajdowali się podpułkownik Mena i kapitan Takashima. Bezpośrednio potem przybyła druga misya i połączyła się z poprzednią. Japońscy oficerowie zwiedzili dokładnie koszary arcyksięcia Albrechta, jakoteż akademię wojskową w Wiener-Neustadt, gdzie ich oprowadzał komendant, jenerał Roth.



Choroba serbskiego następcy tronu: Następca tronu ks. Aleksander Karageorgewicz.

Illustracya nasza przedstawia japońską misyę wojskową w towarzystwie posła japońskiego przy dworze cesarskim, bezpośrednio przed udaniem się do Burgu na posłuchanie.

Choroba serbskiego następcy tronu.

Powołany na następcę tronu w Serbii, po rezygnacyi osławionego ks. Jerzego, brat jego młodszy ks. Aleksander, zaniemógł niedawno bardzo ciężko na tyfus. Choroba miała charakter bardzo ostry i obawiano się powszechnie, czy organizm młodego księcia ją przetrzyma.

Dwukrotnie wzywany z Wiednia prof. dr. Chwostek, nie przeczył po zbadaniu chorego, iż stan jego zdrowia jest bardzo poważny.



Choroba serbskiego następcy tronu: Były i ewentualny następca tronu ks. Jerzy Karageorgewicz.

Dzięki starannej i troskliwej opiece, choroba następcy serbskiego tronu prawdopodobnie nie skończy się śmiercią; ostatnie wiadomości z Belgradu brzmią względnie pomyślnie.

Natomiast nadeszły stamtąd sensacyjne wprost szczegóły o powodach choroby, z których to wiadomości wynikałoby, iż ks. Aleksander padł ofiarą zamachu na jego życie.

Stwierdzono mianowicie, iż tyfusu nabawił się następca tronu w czasie manewrów w Niszu, wypiwszy tam wodę, w której znajdowały się zarazki tej strasznej choroby.

Otóż krążą obecnie pogłoski, iż wodę z zarazkami podstawiono umyślnie ks. Aleksandrowi, aby nabawić go ciężkiej choroby i w ten sposób utorować drogę na tron serbski komuś innemu.

Równocześnie jednak pojawiły się głosy, iż bez względu na okoliczność, jak się skończy choroba ks. Aleksandra, ks. Jerzy nigdy nie odzyska utraconego prawa następstwa.



Japońska misya wojskowa w Austryi: Członkowie misyi z jenerałem hrabią Kawamura (X) przed udaniem się do Burgu na posłuchanie.

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

9

Naczelny inspektor wzrokiem radził się dyrektora więzienia a w wyrazie twarzy jego czytałem odcień niedowierzania.

— Co więcej — ciągnąłem dalej — gotów jestem jeszcze dziś wieczór dowodnie wykazać prawdę tego, co tu twierdzę.

— Najlepiej zaraz, w tej chwili, panie Dickson.

— Nie, jeśli pan pozwoli, panie naczelny inspektorze, dopiero dziś wieczór... Później panu wyjaśnię, dlaczego... a raczej sam pan zrozumie... Czy pozwoli pan, żebym prowadził dalej tę sprawę, którą prowadziłem dotąd?

— No niechżeż tak będzie!

— W takim razie poproszę, by mi pan dał dwóch inspektorów doświadczonych i odważnych, mogących stanąć do walki w razie potrzeby... Zabiorę tych panów do Broad-West... reszta już do mnie należy.

— Dam panu tych dwóch inspektorów, ale strzeż się pan... może się pan mylić... a pamiętaj pan, jakie straszne następstwa mieć może samowolne aresztowanie... a zwłaszcza aresztowanie takiego pana Gilberta Crawforda!

— Czyż mam panu przypominać, panie nadinspektorze, moją dawniejszą działalność i prowadzenie różnych spraw, które pozyskało mi uznanie i pochlebne słowa najwyższej dyrekcyi? Czyż to nie ja wykryłem zawiłą sprawę „Czerwonego Żółwia“, tajemnicze morderstwo bankiera Ponud, dramat w Wimblester-House, czy to nie ja...

Nadinspektor przerwał mi gestem:

— Ja wiem... ja wiem... że pan zawsze dawał dowody taktu i zręczności... ale trzeba uważać, panie Allanie Dickson... zawód nasz ma swe niebezpieczeństwa... dziesięć spraw się uda, a przy jedenastej można popełnić błąd nie do darowania, który spada potem na całą policyę...

— Jeżeli ja przemawiam z taką pewnością, panie nadinspektorze, to dlatego, że zrobiłem bardzo szczegółowe dochodzenie i że trzymam w ręku nić tej całej sprawy. Mam dowody... dowody namacalne... i jeżeli panu mówię: Gilbert Crawford jest mordercą Hugona Chancera, to mówię to, bo jestem tego pewien... bo widziałem u niego papiery skradzione i złote monety, znaczone gwiazdką sześcioramienną...

— To wystarczy, panie Dickson, ufam w pański węch... A jednak... przyznam, że nie bardzo dobrze rozumiem, dlaczego dałeś się pan zaaresztować w klubie „Pacific“...

— Nie chciałem głośnem bronieniem się i ogadywaniem sprawy przy świadkach, wszczynać alarmu... przypuszczałem, że ktoś wmieszany w sprawę jest obecnym w sali, ale wtedy niezupełnie pewien byłem kto... tego kogoś nie chciałem płoszyć przedwcześnie... Wolałem na razie zmilczeć i uledz, nie wyjaśniając zrazu pomyłki... Zresztą bliżej i dokładniej, panie nadinspektorze, wyjaśni to panu pan Gilbert Crawford.

— A więc dobrze... Dam panu dwóch inspektorów, tak, jak to panu obiecałem, ale dla uchylenia się od odpowiedzialności w tej sprawie, na wypadek, mało prawdopodobny zresztą, gdyby ona miała wziąć zły obrót — byłbym panu bardzo wdzięczny, panie Dickson, za zredagowanie wobec mnie formalnego doniesienia...

Wziąłem do ręki pióro i wypisałem te słowa na arkuszu papieru z nagłówkiem dyrekcyi policyi:

„Ja, niżej podpisany, Allan Dickson, detyktyw, zamieszkały w Broad West, poręczam moim honorem, że pan Gilbert Crawford jest mordercą pana Hugona Chancera i że przywłaszczył sobie własność tego ostatniego, obligacye Neweastle Mining Comp., obłożone zastrzeżeniem przez p. Withwortha, oraz monety w złocie, oznaczone gwiazdką sześcioramienną. Twierdzę oprócz tego, że pan Gilber Crawford ukradł mi mój portfel, zawierający pięćdziesiąt funtów w banknotach“.

I położyłem mój podpis. Naczelny inspektor odczytał to pismo, podał je dyrektorowi więzienia, a potem głosem poważnym oznajmił:

— To oskarżenie jest zupełnie formalne... Jeśli się okaże, że p. Crawford jest niewinny, pan Dickson sam poniesie całą odpowiedzialność za popełnioną pomyłkę. To się rozumie, wszak prawda? Pan nie masz już nic do dodania?

— Nic, panie — odpowiedziałem.

— W takim razie jesteś pan wolny. Czy pan sobie życzy, żebym natychmiast wysłał ajentów do Broad-West?

— Nie, nie potrzeba — odpowiedziałem. — Zresztą, jeżeli pan niema nic przeciwko temu, mógłbym na miejscu zażądać usług inspektora Bailey i konstabla Mac Phersona, którzy pierwsi na miejscu zbrodni prowadzili dochodzenie.

— Upoważniam pana do tego.

I siadłszy przed swojem biurkiem, nadinspektor podpisał mi formalne upoważnienie, zaznaczając jednakże na marginesie, że daje mi je na własne moje żądanie. W ten sposób uniknął wzmianki o sprawie w Green Park. Był to człowiek ostrożny, wystrzegał się zawikłań i nigdy się nie kompromitował. Pozostawiał to swoim ajentom i biednym detektywom.



Ja nie jestem mordercą! — krzyknął szofer.

Rozdział XV.

— Czy twój pan w domu?

Staliśmy przed willą Crawford, inspektor Bailey, Mac Pherson i ja. Noc już była ciemna, a w oddali, od strony Merry Town grzmiało. Chwilami pomiędzy drzewami błyskały ogniste arabeski, a spłoszone nietoperze chroniły się w gąszcze. W oknie pierwszego piętra jaśniało blade światełko, oznaczające zaciszną sypialnię milionera. Stang, którego ostrzegał instynkt nieczystego sumienia, chwiał się na nogach na widok tych trzech ludzi, którzy patrzyli nań z poza sztachet.

Bailey pokazał mu swoją kartę.

— Wpuść nas — rozkazał — na rozkaz naczelnego inspektora z Melbourne!

Szofer otworzył bramę i usunął się, pełen szacunku.

— Stang — rzekłem z kolei, piorunując wzrokiem nieszczęsnego chłopaka — idź, dowiedz się, czy pan twój może nas przyjąć.

— Tak... ale...

— Idź, mówię ci.

Znikł, a my naradziliśmy się szybko, podczas tej krótkiej jego nieobecności.

— Panowie — wyjąkał, wróciwszy — niech panowie wybaczą... mój pan jest w domu, ale śpi... a ja nie śmiałem go obudzić.

— Pójdźmy na górę — rzekłem.

Poszedłem sam pierwszy, prowadząc moich pomocników i świecąc sobie zapałką woskową. Skoro tylko weszliśmy na korytarz pierwszego piętra, światło lampki nocnej, przeświecające przez szybę, świeciło nam już dostatecznie. Zaprowadziłem moich inspektorów aż do obserwatoryum i tam, wyciągnąwszy rękę, przemówiłem:

— Patrzcie panowie, pan Crawford leży w łóżku, tak jak co noc, jak o tem świadczą jego ludzie.

Bailey i Mac Pherson zbliżyli się do szyby i wstrzymując oddech, przyglądali się przez chwilę spokojnej twarzy śpiącego.

— Nie słyszał naszych kroków — szepnął Mac Pherson.

Chwyciłem klamkę drzwi i wszedłem do pokoju.

— Wejdźcie panowie! — rzekłem do moich towarzyszy, zdumionych taką bezceremonialnością.

Wsunęli się cicho, na palcach, zażenowani poglądając to na mnie, to na siebie. Ja zaś spokojnie wyszedłem na sam środek pokoju.

— Panie Crawford! panie Crawford! panie Crawford! — zawołałem po trzykroć.

Policyanci znowu spojrzeli na siebie.

Wtedy ja podszedłem do łóżka, ściągnąłem gwałtownie kołdrę i chwytając za włosy woskową lalę, podobiznę pana Crawford, zawołałem:

— Przypatrzcie się dobrze, jakim sposobem stwarza się sobie alibi!

Zdziwienie, podziw, zdumienie obu policyantów wyraziło się w jednem przeciągłem:

— Ach!

Olśnił ich, oszołomił ten efekt teatralny. Ja zaś bardzo spokojnie ciągnąłem dalej:

— Moi panowie, zechciejcie się teraz przekonać, że w biurku znajdują się walory, akcye i obligacye, oraz gotówka w monecie złotej — wszystko to własność pana Hugona Chancera. —

— To będzie pogwałcenie nietykalności spokoju domowego... — zastrzegł się nieśmiało Bailey.

— Dajżeż pan pokoj... ja biorę wszystko na swą odpowiedzialność... zresztą, czyż nie jestem pokryty, mając za sobą nadinspektora z Melbourne?

Skoro tylko biurko otworzyli, Bailey i Mac Pherson z moją pomocą sprawdzili szczegółowo tożsamość papierów z listą numerów, której duplikat miałem w kieszeni. Następnie z ręki do ręki przechodziły po kolei wszystkie złote sawereny, tak dziwnie znaczone przez starego oryginała z Green Park. Inspektorowie na moją odpowiedzialność zabrali ze sobą wszystkie te monety.

Spełniwszy to wszystko, ułożyliśmy napowrót woskową figurę w łóżku, przywróciliśmy zewnętrzny porządek i wyszliśmy z pokoju. Stang, który właśnie wszedł na górę i widział nas wychodzących, spojrzał na łóżko swego pana. Rzekomy pan Crawford leżał tam najspokojniej w świecie i zasypiał — bez wzruszeń, snem sprawiedliwego. — Uderzył mnie, mimo wszystko, komizm sytuacyi i musiałem zapanować nad sobą, by nie wybuchnąć śmiechem na widok zdumionej i przerażonej miny szofera. Widziałem, że drży i nic nie rozumiejąc, toczy błędnymi oczami, jak nieprzytomny.

— Słuchaj Stang — przemówiłem, dotykając jego ramienia — idź i zaprowadź tych panów do małego saloniku na parterze i proś ich, żeby byli łaskawi usiąść. A potem przyjdź tutaj do mnie.

Szofer, jak automat, rzucił się spełnić moje rozkazy. Policyanci zeszli na dół. Słyszałem, jak suwali krzesłami, jak zamykali okna i zasiadali. Wreszcie Stang powrócił.

— To nie żadna komedya — przemówiłem to-

nem surowym. — Ty Stang, masz wykonać słowo w słowo rozkazy, które ci dam, a przedewszystkiem masz mi odpowiedzieć: skąd wziąłeś tę parę bucików z guzikami, świeżo podzelowanych, które miałeś na nogach przedwczoraj?

Szofer popatrzył na mnie, zupełnie ogłupiały.

— No dalej, odpowiadaj! Skąd wziąłeś tę parę butów?

— To mój pan mi je dał... — odpowiedział zalękniony.

— Nie ukradłeś ich?

— Na mój honor, nie — jęknął nieszczęśliwy.

— No to dobrze. A kiedyż ci je twój pan podarował?

— Ja... ja już nie wiem... nie pamiętam... niedawno w każdym razie.

— Przypomnij sobie, Stang... Przyjąłeś tu niedawno temu szofera bez miejsca i podałeś go za swego krewnego?

— Nie znałem tego człowieka... chciałem mu wyrządzić przysługę... Nie myślałem, by w tem było co złego...

— Dobrze... A teraz sobie przypomnij... Czy dawno przedtem otrzymałeś tę parę butów?

— Ach, prawda! To było tego samego dnia, panie Dickson! Tak... teraz sobie doskonale przypominam!

— No widzisz!

— Pan Crawford dał mi te buty, bo mówił, że go cisną od czasu, jak je kazał podzelować... tak... dał mi je rano, jak tylko wstał.

— Dobrze... A teraz słuchaj, co ci powiem, Stang. Ty jesteś złodziej!

— Ja?... Ależ przysięgam...

— Nie przysięgaj!... siedziałeś dwa lata w więzieniu w Adelaidzie za kradzież, spełnioną na szkodę „Cyclon Company“.

Ofiara moja, trzęsąc się na całem ciele, padła na ławeczkę, stojącą na korytarzu. Ja zaś ciągnąłem dalej:

— Oprócz tego usiłowałeś sprzedać w Australskim banku w Melbourne papier wartościowy, który nie należał do ciebie.

Szofer padł na kolana.

— Litości, panie Dickson!... litości! — bełkotał.

— Ukradłeś go, nie zaprzeczaj... Chodzi tu w tej chwili o głowę twoją, Stang, gdyż ta obligacya była częścią majątku pana Chancera, który został zamordowany w Green-Park!

— Ja nie jestem mordercą! — krzyknął szofer, zrywając się. — Ja nikogo w życiu nie zamordowałem... Ja wziąłem ten papier, to prawda... ale ja go wziąłem z pokoju mojego pana!

— Dobrze, dobrze — rzekłem — będzie ci to policzonem, żeś się przyznał szczerze... Nie będziesz pociągany do odpowiedzialności, ja ci to gwarantuję, ale pod jednym warunkiem: musisz mi być ślepo posłusznym, Stang!

— Do pańskich usług, panie Dickson — szepnął biedaczysko.

— Uważaj więc, o co chodzi: będziesz czuwał przy wejściowych drzwiach willi, ukrywając się naturalnie i przyjdziesz nas ostrzedz, gdy tylko posłyszysz, że pan Crawford wraca.

Szofer ze zdziwieniem spojrzał w stronę pokoju, słabo nocną lampką oświetlonego.

— Twojego pana tam niema — rzekłem.

— Co?... Nie?... aaa!!!

— Nie, niema go tam... Powróci zapewne nad ranem... Zrób, co ci mówię, Stang, a ja za ciebie odpowiadam... jeżeli nie, oddam cię natychmiast w ręce sprawiedliwości.

— Ach, panie Dickson! jak ja mam panu dziękować!

Pożegnałem go ruchem ręki.

— No idź już, Stang!

Szofer zbiegł po schodach pędem, ja zeszedłem na dół do saloniku, gdzie Bailey i Mac Pherson czekali.

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

O pierwszym świcie, jak przepowiedziałem, szofer przyszedł nas ostrzedz, że pan Crawford wraca. Słychać było zgrzyt zamku furtki ogrodowej. Jednym susem pobiegłem do pokoju nędznika. Moim towarzyszom poleciłem czuwać w pobliżu. — Wszedłem sam i ukryłem się za kotarą łóżka. Czekałem.

Niebawem dał się słyszeć zgrzyt otwieranych drzwi. W chwilę potem rozległy się w nocnej ciszy kroki lekko i cicho stąpającego po schodach. Zdradzało je tylko lekkie skrzypienie schodów. Przez wielką szybę w ścianie, wychodzącą na korytarz, ujrzałem pana Crawforda. Zatrzymał się na chwilę przy zegarze i sprawdził tablicę, na której służba oznaczała swoje przejścia. Miał na sobie ubranie frakowe i wieczorowy płaszcz na ramionach. Wtedy ja cichutko wyszedłem z ukrycia. Otworzył drzwi, spostrzegł mnie i stanął, jak skamieniały. Ja jednakże nie straciłem fantazyi i najnaturalniej w świecie, wskazując palcem na woskową lalę, leżącą na poduszce, spytałem:

— Przepraszam, moi panowie... ale który z was dwóch jest właściwie panem Gilbertem Crawford?

Bandyta pobladł, jak własny jego obraz woskowy i ręką sięgnął do kieszeni. Odgadłem znaczenie tego ruchu — lecz uprzedziłem go, wycelowując w niego lufę rewolweru.

— Do mnie! — krzyknąłem równocześnie.

Policyanci, ukryci na korytarzu, wbiegli do pokoju. Stang szedł za nimi. Oczy ze wzruszenia wyłaziły mu na wierzch.

— Zaaresztujcie tego człowieka! — rzekłem, wskazując na Gilberta Crawforda — to on spełnił morderstwo w Green-Park!

I spokojnie schowawszy rewolwer do kieszeni, zwróciłem się do pseudo-milionera.

— No i cóż, mój panie — tak sobie życzyłeś widzieć mnie przy robocie! Jakże, czy jesteś zadowolony?

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

W dwa miesiące później mój nieszczęsny sąsiad kołysał się na sznurku na dziedzińcu więzienia Wellington Gaol. Starzec w niebieskich okularach, który, jak wiadomo, usiłował sprzedać obligacye Newcastle Mining Comp., a którego zupełną niewinność w sprawie udziału w morderstwie pana Chancera wykazano, otrzymał tylko dziesięć lat ciężkich robót.

Ten starzec — był to zresztą młody człowiek, nazwiskiem Tommy i był arcymistrzem w sztuce zmieniania fizyonomii. Gilbert Crawford zaznajomił się z nim w jednem z więzień w Sydney i przybrał go do spółki umyślnie dla sprzedawania kradzionych papierów. Na pamiątkę tej sprawy, której mi winszował naczelny szef policyi, zachowałem woskową głowę, dowcipny pomysł sprytnego zbrodniarza i umieściłem ją na kominku u siebie w salonie. Być może, że kiedy pojadę do Londynu, a wtedy oddam ją do Muzeum Tussand, gdzie wśród podobizn wielkich zbrodniarzy, znajdzie się w dobranem towarzystwie.

KONIEC.

Nasza nowa powieść.

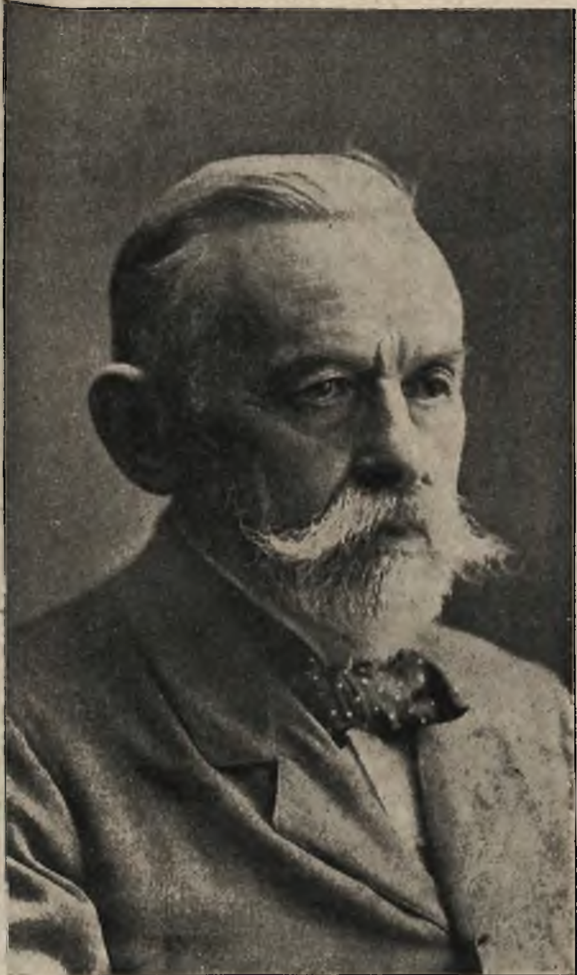
W następnym numerze „Nowości Illustrowanych“ rozpoczynamy druk nowej, oryginalnej powieści historycznej Wacława Gąsiorowskiego, pod tytułem:

„Generał Bem“

Bliższe szczegóły o tej najnowszej powieści głośnego autora polskiego, wraz z jego portretem i sylwetką, zamieścimy równocześnie z rozpoczęciem druku wspomnianej powieści. ::

Jubileusz zasłużonego kupca.

Jeden z najzasłużeńszych przedstawicieli krakowskiego kupiectwa, starszy kongregacyi kupieckiej, p. Henryk Schwarz, obchodził w ubiegłym tygodniu podwójny jubileusz. Upłynęło bowiem w tym roku lat 50 od chwili, gdy p. Schwarz został członkiem kongregacyi kupieckiej, a 30 lat od chwili, gdy został powołany na stanowisko starszego tej kongregacyi.



Jubileusz zasłużonego kupca: Starszy krakowskiej kongregacyi kupieckiej, radca Henryk Schwarz.

Z okazyi podwójnego jubileuszu kupcy krakowscy urządzili na cześć nestora kupiectwa serdeczną owacyę, wyrażając mu uznanie za wieloletnią, pożyteczną działalność dla dobra instytucyi, na której czele stoi oraz składając życzenia długich jeszcze lat zdrowia i pomyślności.

P. Schwarz jest nietylko dzielnym kupcem i starszym kongregacyi, ale wogóle bardzo poważnym i zasłużonym obywatelem miasta Krakowa. Jego działalność w radzie miejskiej, w wielu stowarzyszeniach i instytucyach, nacechowana zawsze troską o dobro ogółu, zjednała mu szczerą sympatyę i poważanie w najszerszych kołach społeczeństwa.

Z okazyi podwójnego jubileuszu zamieszczamy w dzisiejszym numerze portret radcy H. Schwarza.

Willa napowietrzna.

Gospodarka lwowskiego urzędu budowniczego jest szeroko a nie bardzo chlubnie znana. Jego to zasługa niepodzielna, iż tak często zdarzają się w stolicy katastrofy budowlane, że w nowych zwłaszcza domach mieszkańcy niepewni są istotnie dnia ni godziny, niepewni dachu nad głową.

Jednym z ostatnich wypadków klasycznych, których źródła szukać należy w stosunkach budowlanych we Lwowie, jest „willa napowietrzna" w ul. Andrzeja Potockiego. Skutkiem złej konstrukcyi kanału w tej ulicy, woda spływająca do niego, nie mogła się w nim pomieścić i po pewnym czasie przerwała go, a równocześnie wyżłobiła sobie w ziemi obszerną jamę. Stopniowo jama ta rozszerzała się, gdyż coraz więcej ziemi się osuwało, aż zapadł się teren pod jedną z will, przy tej ulicy położonych. Skutkiem tego willa ta na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych zawisła w powietrzu i musiano na gwałt podtrzymywać ją przy pomocy stempli i dźwigarów.

Widok tej willi, wiszącej częściowo w powietrzu, przedstawia się bardzo oryginalnie, dlatego też zdjęcie fotograficzne tej miejskiej idylii dziś zamieszczamy.



Fot. M. Münz, Lwów.

Willa napowietrzna: Willa przy ulicy A. Potockiego we Lwowie, pod którą usunęła się ziemia na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych.



Krakowscy footballiści w Budapeszcie: Drużyna „Cracovii I." (biało czerwoni) i „Törökvesu" (biali) przed matchem w Budapeszcie.

Skazanie Crippena.

Sprawiedliwość angielska daleko szybciej załatwia się z swymi pupilami, niż którakolwiek z jej europejskich koleżanek. Pominąwszy już sam fakt, że pomimo nieistnienia tamże ani przymusu paszportowego, ani obowiązku meldowania się, władze bezpieczeństwa prędzej, niż gdziekolwiek indziej, mają zbrodniarza w swych rękach, zaznaczyć należy, iż cała procedura karna angielska jest bardzo uproszczona i obywa się bez tak popularnych u nas ćwiczeń stylistycznych, stanowiących dla starszej daty biurokratów raj prawdziwy.

Jeszcze Crippen nie miał czasu rozgościć się należycie na okręcie, który wiózł go wraz z damą serca za Ocean, gdy już na amerykańskiej, tym razem niegościnnej, ziemi czekał nań inspektor Dew, aby go zawrócić do Europy. Temu niema się i co dziwić, rząd angielski nie żałuje pieniędzy na sprawy publiczne i stoi w tym wypadku w zupełnem przeciwieństwie, np. do austryackiego, gdzie na zakupno miotły do jakiegoś biura trzeba zezwolenia namiestnictwa, które po kilku miesiącach odpowiada, iż kredyt w tym dziale na rok bieżący już wyczerpany, należy więc poczekać do następnego roku.

Gdyby i tam tak się działo, Crippen byłby już „praktykował" w Ameryce, a Dew w Londynie czekałby na zaliczkę na koszta podróży.

Stało się jednak inaczej. Pieniędzy nie żałowano, aby zbrodniarza dostać w ręce, śledztwo przeprowadzono z możliwym pośpiechem i w ubiegłym właśnie tygodniu stanął Crippen przed kratkami sądowemi, obwiniony o zamordowanie swej żony. Bronił się, jak umiał, sąd nie dał jednak wiary jego wywodom i skazał go na karę śmierci, domniemaną zaś wspólniczkę zbrodni, pannę Le Neve, od odpowiedzialności uwolnił. Przewodniczący pocieszył go nadto, iż nie może nawet spodziewać się, aby wyrok w apelacyi złagodzono.

Wobec tego nie przydadzą mu się prawdopodobnie owe 250.000 dolarów, jakie telegraficznie przekazał mu, jeśli wierzyć dziennikom, dr. Munion z Filadelfii z wyraźnem zastrzeżeniem, że ma nimi dowolnie rozporządzić. Oświadcza przytem, że Crippen zajęty był u niego przez lat czternaście i miał przez ten czas sposobność poznać go dokładnie. Uważa go też za jednego z najlepszych, najsumienniejszych i najzdolniejszych współpracowników, natomiast zamordowana żona była zawsze próżną i niepewną i jej to przypisuje winę całego nieszczęścia.

Kronika tygodniowa.

(Jeszcze o Macochu, Załogu i Krzyżanowskiej. — Załoga niema. — Czy Macoch prawdziwy? — Socyaliści i Maryawici. — Wpływ Macochiady na literaturę. — Obrady Sejmu. — Reforma wyborcza i kanały. — Jak sobie posłowie pomagają. — Pogrzeb kanałów. — To samo czeka reformę. — Wzmocnienie Bilińskiego. — Kompromisy. — Gdzie kucharek sześć! — Zamknięcie sejmu. — Drożyzna. — Mięso argentyńskie. — Cukier potaniał, cygara drożeją. — Frak, czy marynarka. — Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło. — O co chodzi właściwie. — Honorowy doktor.)

Choćbym myślał i pół dnia, od czego rozpocząć kronikę, by była jakaś rozmaitość, nic nowego wymyśleć nie zdołam. Pozostają trzy alternatywy: Macoch, Sejm z kanałami i reformą wyborczą, lub drożyzna.

Ponieważ Macoch jest najbliżej nas, choć oddzielony kratami i murami, jemu dam pierwszeństwo, sprawa bowiem zaczyna się coraz bardziej gmatwać. Pokazało się, podobno już całkiem pewnie, że ów Załóg, którego tak łapano i nareszcie dostano w Hamburgu, nie jest wcale Załogiem, ale jakimś innym śmiertelnikiem, który Częstochowy nawet na oczy nie widział. Jeśli to prawda, prawdziwy Załóg urządził się bardzo dowcipnie, przez ten czas miał bowiem sposobność ulotnić się w bezpieczne miejsce, gdzie będzie oczekiwać na swego protektora i protektorkę. Czekanie to będzie może zbyt długie, jeśli jednak rzeczywiście dotąd udało mu się ukrywać, niema prawie nadziei, aby dał się ułowić, a na tem najgorzej wyjdzie śledztwo, w którem wiele jest ważnych momentów, jakie jedynie on mógłby wyświetlić.

Doniesienia pism codziennych przedstawiają taki bigos najrozmaitszych wiadomości, częstokroć zupełnie sprzecznych, że trudno się w nich wyznać. Co dziś ogłasza się jako rzecz zupełnie pewną, jutro się odwołuje, aby znów pojutrze zmienić po raz trzeci zdanie. Tak było np. z owemi historycznemi rekolekcyami mnichów jasnogórskich, tak samo z owymi klejnotami Macochowej Krzyżanowskiej. — W ostateczności gotowo się jeszcze pokazać, że nawet Macoch nie jest Macochem, ale jakimś podstawionym zastępcą, który odbywa rekolekcye u świętego Michała, podczas gdy prawdziwy Macoch zawinął już gdzieś do bezpiecznego portu wraz z prawdziwym Załogiem i być może jakąś znów fałszywą Krzyżanowską, bo jak dotąd, to tylko ona jest prawdziwą. Skoro zaś „prawdziwa“ jest w rękach sprawiedliwości, mógł się kochliwy młodzian na tymczasem bodaj wystarać o jakąś zastępczynię, którąby go na wygnaniu pocieszała i dodawała otuchy do dalszego wytrwania.

Jak tam zresztą będzie, to, co stało się złego, już się nie odstanie. Ponieśliśmy klęskę moralną, której nikt nam nie powetuje, a długo czekać, nim choćby echo jej przebrzmi, a jest ono wcale dla nas nieprzyjemne. Wzięła się do nas nie tylko zagranica, dzielnie sekundują jej socyaliści u nas, Maryawici w Królestwie. „Literatura“ tylko wzbogaca się niepomiernie, na tle bowiem jasnogórskiej tragedyi pojawiają się różne wypociny umysłowe najrozmaitszych zapoznanych wielkości, kryjących się skromnie pod pseudonimami, a opiewających w romantyczny sposób losy i dzieje owego bohatera z pod ciemnej gwiazdy.

Literaturę tego rodzaju należy traktować, jak na to zasługuje, w każdym razie strzedz przed nią trzeba młodzież, trucizna bowiem, sączona w młode serca, gotowa przysporzyć nam nowych Macochów, a bez nich zupełnie spokojnie się obejdziemy.

Macochiada niezawodnie sprawi nam wiele jeszcze niespodzianek, mam więc niepłonną nadzieję, że niejednokrotnie trzeba będzie do niej powrócić.

Po „macoszemu“ także, ale w innem tego słowa znaczeniu, obszedł się sejm galicyjski z kanałami, taki sam los czeka i ową sławną reformę wyborczą, którą już w ubiegłym tygodniu miałem zaszczyt nazwać dziwolągiem, choć jej jeszcze nie oglądamy. Tego samego zdania są i inni mężowie, władający piórem, którzy zwolna przychodzą do przekonania, że albo nie doczekamy się w czasie bieżącej sesyi sejmowej narodzin owego niemowlęcia, jeśli zaś przyjdzie ono na świat przy pomocy różnych cesarsko-królewskich i autonomicznych akuszerów, będzie to poród przedwczesny i nienormalny!

Kontenci są jedynie posłowie, mogą bowiem nic nie robić, a udawać bardzo zajętych sprawami kraju. Jeśli zapytasz takiego pana, jak zapatruje się na sprawę kanałów, odpowie ci bez zająknienia, że bardzo żałuje, iż nie może nic powiedzieć, całą bowiem uwagę i wszystkie swe siły fizyczne i umysłowe poświęcił jedynie reformie wyborczej, którą uważa za pierwszorzędnego dla kraju znaczenia. Niech jednak bezpośrednio po tobie zaś interpeluje tego samego pana ktoś inny w sprawie reformy, ma gotową odpowiedź, że nie jest ona wcale pilną! Teraz powinniśmy kuć sprawę kanałową, póki żelazo gorące, reformą więc wcale się nie zajmuje, natomiast za kanałami gardłuje i biega, bo one jedynie mogą mieć dla kraju ogromne znaczenie. Jest to sprawa dla ekonomicznego rozwoju Galicyi jedynie aktualna!

I tak sobie idzie „w koło Macieju“. Kanały już definitywnie poszły spać, to samo czeka i reformę wyborczą. Pogrzeb odbył się z wielką paradą, przepisaną autonomicznym ceremoniałem, ostatnią posługę oddał im nawet ekscelencya Biliński, który w tym celu umyślnie przybył z Wiednia do Lwowa. Nie pomogły usilne starania lewicy sejmowej, sprawa była już dawno przesądzona. Prawica zgodziła się na odszkodowanie, które Wysoki Rząd raczył przyobiecać, jednakowoż z zastrzeżeniem: „jeśli będą odpowiednie fundusze“, chciałaby jednak, by spełniło się przysłowie, iż „nie wie lewica, ile dostanie prawica“. Tego samego zdania byłaby i lewica, gdyby rzeczywiście odszkodowanie miało być realnem. Z konieczności musi się każdy pogodzić!

Wobec przekonania prowodyrów galicyjskiej krajowej polityki, że bez kanałów zupełnie spokojnie można się obejść, ekscellencya Biliński wzmocnił swe stanowisko w Wiedniu i nie będzie potrzebował pakować swych kufrów, które i tak gotowe są podobno zawsze do drogi. Powrócił też z wesołą miną nad Dunaj, nie czekając nawet na zjazd polskich muzyków z okazyi obchodu Chopina, wie przecież z dawna, że my zawsze tak tańczymy, jak rząd zagra, śpiewamy zaś zawsze jednakowo cienko.

Sprzedawszy więc kanały za misę „obiecanej“ soczewicy, możemy całą energię wyładować w stronę reformy wyborczej, która, jak dotąd, zależną jest od poufnych kompromisowych rokowań między stronnictwami. Nie są one jednak znowu tak „poufne“, by nikt o nich nie wiedział, prasa codzienna podaje też rozmaite projekty.

Według nich konserwatyści zgadzają się, by liczba posłów sejmowych wraz z wirylistami wynosiła ponad dwieście, z czego na pierwszych przypadłoby dwanaście mandatów. Kurya wielkiej własności miałaby ich czterdzieści cztery, gmin wiejskich 74, jest jednak skłonność do zaokrąglenia jej na osiemdziesiąt. Kurya miast liczyć ma 28 posłów z ewentualnem podwyższeniem o ośmiu, powszechna w miastach 10, Izb handlowych 3, Izb rękodzielniczych 2—3, organizacyi rolników 12, wielkiego przemysłu sześciu. Wybory proporcyonalne trzymandatowe istniałyby tylko we wschodniej części kraju, w zachodniej jednomandatowe. W kuryi gmin wiejskich głosowanie potrójne, pluralne.

W klubach demokratów skłaniają się podobno posłowie do przyjęcia propozycyi, jeśli jednak liczba mandatów dla miast będzie stosownie podwyższono, a ten jedyny warunek demokratów konserwatyści niezawodnie przyjmą. Kompromis rozbija się jednak o główny szkopuł, mianowicie o kwestyę ilości mandatów ruskich. Rusini żądają ich znacznie więcej, niż odpowiada to ich faktycznemu znaczeniu i niż bez narażenia na szwank naszego interesu narodowego przyznać im możemy.

Wogóle choć owa kompromisowa reforma będzie niesłychanie skomplikowanym dziwolągiem, pewnego postępu w duchu demokratycznym odmówić jej nie można. Zaprzeczyć się także nie da, że różne sztuczne postanowienia będą nastręczały dla macherów dość sposobności do rozmaitych matactw, tradycya więc sławnej „kiełbasy wyborczej“ tak prędko w Galicyi nie zaginie, *isto bude, jak buwało!*

Kuryalność sejmu jest koniecznym warunkiem, postawionym przez rząd, bez niej reforma byłaby niemożliwą, o niej też nie dyskutuje się nawet, apetyty jednak braci Rusinów są zanadto przesadzone i o nie gotowe się rozbić wszelkie rokowania i kompromisy. W ostatniej chwili sytuacya jest tak poważną, iż całkiem głośno mówi się o zamknięciu Sejmu, jeśli Rusini nie zgodzą się na kompromis. Byłby to drugi pogrzeb w czasie obecnej sesyi, reforma podzieliłaby losy ś. p. kanałów.

Ostatnia ze spraw wspomnianych przezemnie na początku kroniki, to drożyzna, która daje nam się we znaki. Wiedeń otrzymał już pierwszy transport argentyńskiego mięsa i przy tej sposobności pokłócili się nawet tamtejsi rzeźnicy, dla Krakowa obiecano na styczeń piętnaście ton tego zamorskiego specyału, o ile jednak przedtem rzeźnicy złożą uroczyste przyrzeczenie, że w czasie rozdzielania nie pokłócą się lub pobiją, jak ich wiedeńscy koledzy, wiadomo zaś, że nasz narodek od topora jest daleko jurniejszy od opitych piwskiem Szwabów.

Z tego mięsa nie taki znów wielki będzie pożytek; 15.000 kilogramów na 150.000 ludności, to zero, w każdym jednak razie można mówić, że coś się przecież robi dla dobra zgłodniałych rzesz. Pociesza nas jedno, że cukier staniał, osłodzimy więc sobie jako tako naszą gorzką dolę.

Najbardziej zasmuceni są nasi palacze, którzy obejdą się łatwo bez jedzenia i picia, byle mieć swoje „kuba“ lub „virginia“! Idąc w ślad za rzeźnikami i piekarzami i Wysoki Rząd postanowił podrożyć cygara i tabakę, aby bodaj w ten sposób wynaleść potrzebne fundusze na sprawienie rozmaitych dreadnoughtów i balonów, mających się przyczynić do utrzymania europejskiego pokoju. Głośno stąd w delegacyach, które narzekają na pogwałcenie konstytucyi, minister wojny zamówił bowiem okręty, nie mając na to pozwolenia ani uchwalonych kredytów. Wywija się też, jak może, z opresyi, zasłaniając się wołą jakichś „wysoko postawionych“ osobistości, nie chce jednak zdradzić ich *incognito*.

Wogóle sprawą marynarki austryackiej na sery mało kto się zajmuje, choć gazety rozpisują się o tem szeroko, a że tak jest w istocie, miałem kiedyś sposobność przekonać się na własne oczy i uszy *ex re* interwiewu, jaki urządziłem z jednym z posłów sejmowych, który równocześnie wchodzi w skład austryackiej delegacyi i nawet piastuje tam wysoką godność. Przejeżdżał właśnie do Lwowa podobno na pogrzeb sprawy kanałowej, gdym go przypadkiem spostrzegł w oknie wagonu. Przystąpiłem do niego obcesowo i złożywszy głęboki ukłon zapytałem:

— Excellencyo... *pardon*... jeszcze nie! Zagalopowałem się nieco... Czy nie mógłbym prosić o pewne wyjaśnienia w kwestyi marynarki?

— Daj mi pan święty spokój! Co mnie może obchodzić jakaś tam marynarka, skoro ja myślę ciągle o fraku ministeryalnym! Czy nie byłoby mi w nim do twarzy? Powiedz pan sam!

To powiedziawszy rzucił okiem w stronę zwierciadła, wiszącego na ścianie przedziału pierwszej klasy.

Dla zdolnego dziennikarza wystarczy jedno słowo, jedna allegorya, jeden dwuznacznik... Byłem też zaraz w domu i zrozumiałem, że przyszły excellencya co innego miał na myśli. Na ten temat rozmyślałem bardzo długo wieczorem, dopóki nie usnąłem. W nocy śniło mi się, że wielki nowomodny dreadnought wjechał mi prosto do nosa i tak tam zaczął świdrować, aż kichnąłem i to tak silnie, że sam się obudziłem...

Aby podobne zmory nie nękały i Szanownych P. T. Czytelników, dam spokój marynarce, boć i tak, choć delegacye się gniewają, rząd zrobi, co mu się podoba, zwłaszcza jeszcze teraz, kiedy cesarz Wilhelm przypomina, iż czeka na okazanie wdzięczności za pomoc moralną, jakiej użyczył Austryi w czasie aneksyjnym. Wprawdzie Wiedeńczycy są zdania, iż nazywając imieniem cesarza jeden z placów, już dostatecznie się odwdzięczyli. Berlin nie godzi się na to, powiada, że to mało i żąda, by Austrya budowała flotę pierwszorzędną, naturalnie za swe pieniądze. W razie europejskiego konfliktu, spowodowanego gadatliwością cesarza, austryacka marynarka ma na południu czynić dywersyę Anglii, nic też dziwnego, że i delegacye nią się zajęły. Zdaje się jednak, że cesarz Wilhelm, zostawszy bodaj honorowym doktorem prawa spoważnieje, nie wypada przecież, aby teraz tak się szwendał, jak dotąd. — Także i Polacy wyjdą dobrze na tej nominacyi cesarskiej, jako bowiem doktór praw nie pozwoli chyba, aby działa nam się krzywda pod jego panowaniem.

X.

Krakowscy footballiści w Budapeszcie.

Krakowski klub sportowy „Cracovia“ bawił ubiegłej niedzieli w Budapeszcie, gdzie rozegrał match footballowy z tamtejszą pierwszorzędną drużyną „Törökves Sportegelet“, tą samą, która na wiosnę grała w Krakowie.

Drużynę krakowską przyjęto w Budapeszcie bardzo serdecznie i gościnnie, zarówno ze strony Węgrów jak polskiej kolonii budapeszteńskiej. Match zaś ściągnął na boisko bardzo liczną publiczność, która z wielkiem zainteresowaniem śledziła przebieg matchu.

Krakowianie spisali się w Budapeszcie bardzo dzielnie, gdyż mimo trudów dwunastogodzinnej całonocnej jazdy, przegrali w stosunku zaledwie 1:2, co jest wynikiem wprost doskonałym, najlepszym w sezonie jesiennym, zwłaszcza z uwagi na doskonałą formę, w jakiej się obecnie klub budapeszteński znajduje. Wynik ten dowodzi znowu, że „Cracovia“ ma wszelkie warunki do zajęcia miejsca wśród pierwszorzędnych drużyn footballowych, byle tylko wytrwale pracowała nad wydoskonaleniem techniki gry.

Wielkie zainteresowanie budzi w krakowskich kołach sportowych zapowiedziany na najbliższą sobotę i niedzielę dwudniowy match „Cracovii“ ze „Smichowem“ z Pragi, który trzykrotnie już pokonał krakowską „Wisłę“, a nadto match między oboma krakowskimi klubami „Wisłą“ i „Cracovią“, zapowiedziany na 13 listopada, na zakończenie sezonu.

Dziś zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające „Cracovię“ wraz z drużyną „Törökvesu“ w Budapeszcie przed matchem.

Nowe placówki polskości na kresach.

Rok trzeci mija, jak krzywdzie Polaków w Gruszowie na Śląsku po długich wysiłkach, trwających lat ośm, położono wreszcie kres. Gruszów, to gmina opanowana w zupełności przez Niemców, którzy tam mają olbrzymią fabrykę. To też gmina stale odmawiała Polakom szkoły.

I dopiero Macierz szkolna księstwa Cieszyńskiego pomogła Gruszowianom. W r. 1908 zorganizowano tam szkołę 3 klasową prywatną, do której zaraz zgłosiło się 170 dzieci. Kierownictwo jej objął doświadczony pedagog Jan Kotas. W ciągu roku robiono starania o przyjęcie szkoły przez gminę na etat publiczny.

Dzięki usilnym staraniom rodziców, kierownika szkoły i przychylnych Polakom kilku radnych, żądaniu temu stało się obecnie zadość. Szkoła w roku 1909/10 została przyjęta na etat publiczny.

Dziś nadto stanął nowy, jednopiętrowy gmach, z czterema obszernemi salami.

Dzięki temu wzrosła znowu frekwencya, tak że obecnie uczęszcza do tej szkoły 320 dzieci, a do obok niej założonej ochrony około 70 dzieci. Kierownik szkoły Jan Kotas, odchodząc z tego posterunku do Jaworza, może z dumą spoglądać na owoce swych usiłowań i działalności.

Z okazyi przyjęcia szkoły w Gruszowie na etat publiczny, zamieszczamy dziś zdjęcie nowego gmachu szkoły oraz grupę dziatwy szkolnej.

Równocześnie powstała na wschodnich kresach polskich silna placówka narodowa, mianowicie polska szkoła ludowa w Winogradzie w powiecie sądowym Gwoździec za Kołomyją.

Jak w wielu innych miejscowościach we wschodniej Galicyi, także w Winogradzie dziatwa polska była narażona na wynarodowienie z powodu braku polskiej szkoły, a otoczenia ruskiego.

Dopiero w tym miesiącu dzięki usiłowaniom grona dzielnych patryotów i poparciu kół T. S. L. w Gwoźdźcu i Kołomyi, otwarto tam polską szkołę ludową im. królowej Jadwigi.

Uroczyste otwarcie tej szkoły nastąpiło przed kilkunastu dniami. Poświęcenia dokonał O. Tadeusz Ukleja, Bernardyn z Gwoźdźca. Na uroczystość tę przybyło okoliczne obywatelstwo, członkowie T. S. L. i towarzystwa „Sokół“ z Gwoźdźca oraz wielu mieszczan i wieśniaków miejscowych i z pobliskiego miasteczka Kułaczkowiec. Zarząd główny T. S. L. reprezentował p. Gruszecki, zarząd okręgowy pp. Bratkowski i Podhalicz.



Nowe placówki polskości na kresach: Dziatwa z polskiej szkoły im. królowej Jadwigi w Winogradzie za Kołomyją.

W podniosłych słowach przemawiali O. Tadeusz Ukleja oraz p. Kosior i prezes koła miejscowego T. S. L. dr. Morawski, zachęcając wieśniaków polskich do jak najliczniejszego posyłania dzieci do tej nowo utworzonej polskiej placówki oświatowej, której kierownictwo powierzono młodej i energicznej nauczycielce p. Zofii Grosserównej.

Po uroczystości poświęcenia podejmowali u siebie pp. Kazimierzowie Kobylańscy, właściciele Winogradu i protektorzy nowoutworzonej szkółki, całą drużynę z staropolską gościnnością. Sympatyczne to zebranie, w którem wzięli udział i włościanie



Nowe placówki polskości na kresach: Grupa dziatwy szkolnej z Gruszowa na Śląsku.

było dowodem, że pp. Kobylańscy otaczają włościaństwo miejscowe prawdziwą, serdeczną życzliwością.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie grupy uczestników otwarcia szkoły w Winogradzie.

Marya Bogucka.

Opera warszawska wystawiła ostatnio z wielkim nakładem pracy i kosztów efektowną operę Jeane



Skazanie Crippena: Zasądzony na śmierć za zamordowanie żony lekarz londyński dr. Crippen.

Nouguès'a p. t.: „Quo vadis". Libretto opery opracował na podstawie znanej powieści Sienkiewicza Henryk Cain.

Opera Nouguès'a, choć jej muzyka nie przedstawia specyalnej wartości artystycznej, cieszy się ogromnem powodzeniem ze względu na szereg wielce dramatycznych i efektownych momentów w akcyi, stanowiącej treść sztuki.

Do powodzenia opery „Quo vadis" w Warszawie przyczyniła się prócz świetnej, wspaniałej wystawy, także obsada znakomita, w szczególnoś i ceniona śpiewaczka, Marya Bogucka, która objęła rolę Lygii.

P. Bogucka jest obecnie primadonną opery czeskiej w „Narodnem Divadle" w Pradze. Ponieważ występy jej na scenie praskiej mają się rozpocząć aż w listopadzie, przeto obecnie wystąpiła znakomita śpiewaczka kilkakrotnie w operze warszawskiej, gdzie kreowała rolę Lygii, a nadto Tatjany w „Eugeniuszu Oneginie".

Krytyka warszawska zgodnie i jednomyślnie podnosi wysokie zalety głosu i gry p. Boguckiej, zaznaczając widoczny postęp od czasu jej ostatnich występów w Warszawie. Ogólnie też tam żałują, że występy sympatycznej primadonny kończą się w tych dniach i że będzie musiała opuścić scenę warszawską.

Z półek księgarskich.

Sprawozdanie z zarządu Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswylu za rok 1909. Paryż 1910. Drukarnia A. Reiffa.

Zarząd muzeum przedkłada dokładny szkic swej działalności, z którego niestety wynika, że nie cieszy się takiem poparciem ogółu, na jakie zasługuje. W innem społeczeństwie rozporządzałby milionami, u nas walczy z brakami i utrzymuje się jedynie dzięki dobrej woli i wysiłkom jednostek.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. St. Abraham, Lwów: Nazwisko każdego z P. T. Czytelników, którzy trafnie odgadli zagadki, umieszczamy zawsze w odpowiedniej rubryce naszego pisma.



Skazanie Crippena: Domniemana wspólniczka zbrodni, miss Le Neve, którą sąd uwolnił.

WP. K. Turecka, Tarnopol: Wspomnianego listu dotąd nie otrzymaliśmy.

WP. W. L. Sambor: W jednym z najbliższych numerów rozpoczynamy druk oryginalnej powieści polskiej W. Gąsiorowskiego p. t „Jenerał Bem". Senzacyjne powieści, jak: Wydrążona igła, Koralowy różaniec, Tajemnicze dokumenty... cieszą się wielką poczytnością, umieszczając je, czyniliśmy tylko zadość życzeniu wielu Czytelników.

WP. Gola, Pilzno: Fotografii z obchodu Grunwaldzkiego z Siedliskach nie otrzymaliśmy.

Głosy publiczne.

Życie bakteryi jest bardzo długie. Po zbadaniu jednego grama suchej ziemi z herbaryum, które pochodzi z pierwszej połowy przeszłego wieku, znaleziono tam 20.000 żyjących bakcyli. A. Nestler wystawił grudkę ziemi z przed 23 lat na ciepłotę od 120—150° Celsiusa i pomimo tego nie mógł zniszczyć bakcyli, które w niej się znajdowały. Jasnem jest tedy, że takie odporne żywioły należą do niebezpiecznych wrogów zdrowia ludzkiego. Tylko czystość może nas od nich uchronić. Głównem siedliskiem bakteryi są zęby i jama ustna człowieka. Dr. Miller sprawdził, że w 136 wypadkach septycznej infekcyi całego ciała ludzkiego nastąpiło 64 śmiertelnych wypadków wskutek chorych zębów.

Tylko regularne czyszczenie zębów i ust, antyseptycznie działającymi środkami, jak n. p. Sarga KALODONT KREM i woda do ust, chronią nas od wielu chorób.

Zbliża się chwila przez dziatwę mile oczekiwana, w nadziei, że i w tym roku św. Mikołaj dla niej coś pięknego wybierze. Najpiękniej w fantazyi dziewczynki maluje się lalka. Ale jaka? Z włosami do czesania, w krakowskim stroju i taka, która mówi „mama".

Przy tem myśl zwraca się ku ul. Wolskiej. Jakież to tam rozkoszne te lalki! na samą myśl serduszko prędzej bije, aby mamusię, tatusia lub krewną droga na Wolską po lalkę zaprowadziła.

Tam jest siedziba tych pięknych, rozkosznych i prawie żyjących istotek. Z nich już prawie każda dla której, z dziewczątek przeznaczoną została.



Marya Bogucka.

Dużo, bardzo dużo już ich na św. Mikołaja czeka aby je zabrał i grzecznym dziewczynkom darował



Nowe placówki polskości na kresach: Gmach polskiej szkoły w Gruszowie na Śląsku.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 42.

Dobre rozwiązania nadesłali PP.: J. Okoński Tarnopol, D. Engelberg Rzeszów, C. Wang Jasło, J. Diamand Rzeszów, J. Klappholz Sanok, M. Turska Kraków, W. Graczyńska Kraków, M. Litwińska Sambor, A. Trzeciak Kraków, A Gralewski Kraków, A. Pankowski Kraków, J. Wakulski Stanisławów, S. Rogoziński Radom, M. Krysakowska Lwów, J. Ciszewski Kraków, H. Ligęza Warszawa, M. Więckowska Sanok, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Jasiński Kraków, J. Piątek Podwołoczyska, J. Jahoda Cieszyn, K. Michalski Cieszyn, H. Lustig Oświęcim, F. Horak Kraków, T. Nikiel Zakopane, M. Błotnicka Jordanów, J. Galusiński Kraków, R. Knapik Stojanów, J. Kopczyńska Peronin, H. Czemeryński Stanisławów, A. Balicki Kołomyja, K. Gliński Sambor, H. Wojciechowski Czerniowce, G. Górski Tarnów, J. Kozicki Radomyśl, R. Ohrenstein Drohobycz, K. Radoszewski Jasło, M. Krawecka Rzeszów, J. Łopatkiewicz Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, T. Łapińska Rzeszów, H. Rosenstock Piotrków, M. Świrska Radom, W. Ostrowski Piotrków, K. Świrski Sandomierz, W. Bandrowski Lisko, H Kwaśniewski Jordanów, M. Kuryłowicz Nisko, J. Nitecki Sambor, J. Weigel Krosno, I. Brzostowski Kraków, B. Michalec Lwów, J. Lipińska Zakopane, T. Nowacka Sambor, J. Pick Łódź, J. Antosz Kraków, H. Dziedzic Przemyśl, M. Dręgiewicz Sanok, W. Toporowski Rzeszów, J. Sołtysik Przemyśl, T. Gorczyca Bochnia, J. Myszkowski Drohobycz, J. Jaworski Strus w, K. Armatys Jasło, J. Czarkowski Kraków, W. Moszyński Zaleszczyki, M. Marcinkiewicz Mińsk, J Solecki Sandomierz, J. Gędzierski Warszawa, K. Bartosz Sambor, J. Wyka Krosno, W. Zachara Limanowa, W Link Zakopane, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, O. Górkowa Chyrów, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, S. Faliszewski Baligród, K. Fuchs Czeremchów, M. Sulima Skawina, K. Turecka Tarnopol, M. Malinowska Oświęcim. Ks. S. Czerski Trzęsówka, E. Bogdalska Koropuż, S. Abraham Lwów. R Wittig Kraków, J. Fingerer Stryj, J. Badura Rożdzień, M. Serbeńska Budzanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p **M. Więckowska Sanok.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Łamigłówka:

Zez
bór
rok
oko
sąd
noc
iwo
ara
don
kra
jan
iwa
pas
nil
ewa
jod
bug
mól
raz
bez
nle

Zadanie do przestawienia: Nie wszystko złoto, co się świeci.

Szarada: Dukat.

Logogryf:

I	m	p	e	r	y	a	ł
G	e	r	t	r	u	d	a
N	e	g	r	o	w	i	e
A	n	t	y	l	o	p	a
C	h	a	r	y	b	d	a
Y	o	r	k	t	o	w	n
P	i	r	e	n	e	j	e
A	k	u	s	t	y	k	a
D	o	r	t	mu		n	d
E	s	c	h	i	l	e	s
R	e	m	e	n	s	a	s
E	l	ż	b	i	e	t	a
W	i	e	l	o	r	y	b
S	c	h	u	b	e	r	t
K	r	a	s	i	c	k	i
I	m	i	e	s	ł	ó	w

Szarada: Temperatura.

Zadanie do przestawienia: Gdzie drzewo rąbią, tam trzaski lecą.

Rebus: Dobre lub złe imię, oto wszystko, co pozostawiamy po sobie na ziemi.

Zadanie do przestawienia: Wedle stawu grobla.

Kącik humorystyczny.

A to się wybrał!

Pewien młodzieniec, z tych co to ani sieją, ani orzą, a jednak żyją przecież na świecie, stał przed wystawą sklepową i podziwiał najrozmaitsze towary. Spostrzegł go i kupiec, a chcąc zachęcić do kupna, wyszedł przed sklep i zapytał, czegoby potrzebował, ma bowiem wielki wybór najrozmaitszych towarów.

— Ot, proszę pana dobrodzieja, naprzykład ten kuferek! — mówił, wskazując na bardzo piękny okaz. — Niewiele kosztuje, a jest bardzo trwały i praktyczny... Akurat nadałby się dla pana na schowanie ubrania i bielizny...

— A cóż pan myślisz, że ja będę chodził *nago?* — zauważył zagadnięty.

Porządna okolica.

Przez wieś, położoną niedaleko Skawiny, przejeżdżał jakiś nieznający okolicy turysta. Po drodze zwiedzał wszelkie osobliwości, wstąpił więc i na cmentarz i zauważył z zadziwieniem, że od kilku lat wcale nie przybyło grobów. Przewodnik, zapytany o to, potwierdził, iż od siedmiu czy ośmiu lat rzeczywiście nie było ani jednego pogrzebu.

— W takim razie okolica musi być bardzo zdrowa?

— Ależ, przeciwnie! — odpowiedział zagadnięty.

— To jakaż tego przyczyna?

— Z naszej wsi wszyscy umierają na Wiśniczu! — brzmiała odpowiedź.

Przytomność umysłu.

W lesie napada na pana Teitelbauma rozbójnik, a kierując w jego stronę lufę browninga, woła:

— Pieniądze, albo życie!

— Nu, panie rozbójnik! — odpowiada Teitelbaum — bierz pan życie, ale zostaw mi pan pieniądze!

NADESŁANE.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

31

Prezes nie odpowiadał. Samochód minął plac Gwiazdy. Wjechał na avenue Marceau, przejechał most Alma i zagłębił się w dzielnicach lewego brzegu. W przeciągu dziesięciu minut był przy Wersalskiej bramie. Panajon zatrzymał się.

— Co się stało? — zapytał Maksym Duret, przerywając milczenie, w którem się pogrążył po ostatnich słowach swego wspólnika. — Guma?

— Nie... Lecz zanim ruszymy dalej, musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności...

— Jakie środki?

— Już dosyć czasu upłynęło... jak panna Dubois robi lulu w kufrze na górze... A chloroform znowu nie działa wiecznie...

Złodziej zaczął zdejmować rękawiczki.

— Więc co? — pytał dalej Duret.

— A więc, mój drogi, nie moglibyśmy się dziwić, gdybyśmy nagle usłyszeli, jak nogami zacznie walić w ściany kufra... Byłaby jeszcze większa nieprzyjemność, gdybyśmy właśnie w takiej chwili musieli zwolnić i gdyby wtedy kto nas mijał...

Prezes zbladł.

— Nie mówiąc już o tem — ciągnął dalej Panajon — że ta twoja panna do tupania może dołączyć i przeraźliwy krzyk... I oto jedziemy między dwoma rzędami willi, a kufer zaczyna ruszać się i wołać na pomoc... Zanim dojechalibyśmy do Chaville, mielibyśmy już na swych śladach stu cykli stów i pięćdziesięciu żandarmów...

— Jakże na to zaradzić?

— Wzmocnić sen, który jest za słaby.

Złodziej wyjął z kieszeni małą tubkę ze złoconego metalu.

— Co to jest? — zainteresował się filantrop.

— Zwyczajny podróżny rozpylacz.

Panajon nacisnął guzik na tubce i w tej chwili wyskoczyła z niej maleńka rurka.

— Istotnie, prawda! — przyznał Maksym Duret. —

— A napełniona ona jest chloroformem — dodał złodziej.

Jednocześnie wskoczył ze zręcznością akrobaty na wierzch samochodu, przykucnął przy kufrze, jakby chciał go poprawić i w otwór zamku wsadził rurkę rozpylacza, naciskając go palcem z drugiej strony. Maksym Duret przyglądał się tej robocie, stając przed samochodem. Tetard zaś, który nie potrzebował chloroformu do spania, chrapał głośno, wyciągnięty na miękkich poduszkach. Po chwili Panajon zeskoczył na dół, chowając do kieszeni rozpylacz i zajął znowu miejsce przy kierownicy, a przy nim filantrop.

— Teraz jesteśmy już spokojni! — rzekł i ruszył naprzód ku Wersalowi.

W kwadrans potem wjeżdżał już do Chaville.

— Dojeżdżamy! — oznajmił Panajon.

I istotnie samochód wkrótce stanął. Dalej zresztą droga już nie szła. Kończyła się ona w tem miejscu przy wielkim murze z szeroką, zakratowaną bramą, obitą żelaznemi blachami. Wszyscy wyszli z samochodu. Maksym Duret rozglądał się dokoła siebie. Byli w lesie. Ze wszystkich stron okrążeni byli drzewami. O kilkaset metrów z boku widniały czerwone dachy willi parku w Chaville. Dalej w dolinie ciągnęła się zygzakowata linja kolei Zachodniej. Horyzont zamykały lasy Viroflay.

— Co, ładne otoczenie dla uśpionej księżniczki! — rzekł Panajon. — Ale śpieszmy się! Musimy być daleko, gdy się uśpiona obudzi... Nie mam najmniejszej ochoty, ani kneblować jej ust, ani słuchać jej krzyków.

— I ja również — dodał Maksym Duret.

— A z drugiej strony — mówił dalej złodziej, pociągając trzy razy za zwieszający się z boku łańcuch od dzwonka — nie mam również zamiaru wyznaczać tej pięknej osobie trzeciej porcyi chloroformu... Mógłby on źle wpłynąć jej na żołądek...

Opuścił łańcuch od dzwonka i podszedł do samochodu, by trzy razy zatrąbić. Tetard zdjął kufer i wziął go na plecy. Zakratowane drzwi otworzyły się z zgrzytem i ukazał się w nich Ahmed. Turek miał na głowie swój czerwony fez. Zamiast jednak jaskrawego kostyumu, nosił na sobie teraz zwykłą, nie rażącą liberyę.

Maksym Duret przyglądał się Ahmedowi, którego widział dopiero po raz pierwszy, a jednocześnie wzrok jego biegł przez otwarte drzwi do prawie niewidzialnej willi, ukrytej w środku parku, zarośniętego gęsto olbrzymimi drzewami. Wszyscy trzej weszli za mur, a Turek zamknął za nimi drzwi.

— Oto ten wierny służący — rzekł Panajon do Maksyma Dureta. — Odpowiadam za niego swoją głową.

— Dzikie ma on wejrzenie... — nie mógł powstrzymać się od tej uwagi filantrop.

— A ty myślisz, że masz dobrą minę z tą przyprawioną brodą i ciemnemi okularami!...

Panajon dodał kilka słów po turecku, zwracając się do Ahmeda. Były handlarz nugatami skierował się do willi. Przybyli poszli za nim.

— Jeżeli tylko można liczyć na niego!... — rzekł Maksym Duret.

— Najzupełniej! — odparł złodziej. — Czujność jego nie osłabnie nigdy ani na minutę.

— Będzie musiał jednak oddalać się nieraz od więzionej, a nawet z willi, idąc choćby po zakupy?

— Bez wątpienia! Przedtem jednak zwiążę starannie tę młodą osobę i zamknę ją na klucz, nie przestając być dla niej z największym szacunkiem... Och! możemy być spokojni! Jest on wstrzemięźliwy, jak wielbłąd, chytry jak lis i wierny jak pies...

Złodziej zakaszlał i poprawił się:

— I panna Dubois nie będzie mogła przeciągnąć go na swoją stronę...

Panajon ciągnął dalej:

— Nie będzie nawet w stanie rozmówić się z nim, gdyż Ahmed umie tylko po turecku... Gdy mówi: *dobre, ananasiowe, postaciowe, cikolatowe,* okazuje całą swą znajomość obcych języków...

— Bardzo pięknie! Zabezpiecza to nas od wszelkiej niedyskrecyi z jego strony... Nie będzie gawędził z dostawcami...

— Znakami tylko wytłómaczy im, czego potrzebuje... Nikt nie będzie nawet wiedział w Chaville, czy pilnuje on willi sam, czy też jeszcze kto inny jest z nim... Nikt się nie dowie, ani jakiej narodowości jest jego pan, ani jakiej jest on sam... A zresztą, gdyby nawet mówił po francusku, to i tak nie potrzebowalibyśmy się obawiać wygadania z jego strony!

— A co pomyśli on na widok kobiety, wyjmowanej z kufra, której ma pilnować? — zapytał Duret.

— Już ci mówiłem, że nie dziwi się niczemu... Widział on ciekawsze rzeczy w Salonikach, a nas Paryżan uważa za daleko mniej ucywilizowanych od swych rodaków...

— Bardzo dobrze!

— Możemy mu ufać najzupełniej — opowiadał dalej złodziej. — Od czasu do czasu tylko, naprzykład raz na tydzień, będziemy dowiadywali się o naszego ciekawego więźnia i po spełnieniu tej grzeczności, będziemy mogli spać najspokojniej... Dowiadywać się o nią będziemy tylko u jej dozorcy, gdyż zupełnie zbytecznem jest oglądać ją samą...

— Istotnie — przyznał Duret zadowolony, że nie będzie potrzebował widzieć się ze swą ofiarą.

— Oszczędzi to nam wielu dramatycznych scen.

Filantrop i tę uwagę uznał za słuszną. Przyszli do willi. Ahmed otwierał drzwi.

— A co? Dobre są zamki? — pokazywał Panajon. — Wszystko zamyka się doskonale w tym domu, począwszy od bramy wjazdowej, a skończywszy na strychu... Nawet wymarzyć nie moglibyśmy nic lepszego.

— Ma pan rzeczywiście szczęśliwą rękę — pochwalił Maksym Duret.

Filantrop odpowiadał chętnie złodziejowi, milcząc wtedy tylko, gdy poufałość jego wspólnika przechodziła granice i stawała się obraźliwą. Ta zmiana postępowania datowała się od doby. Panajon zastanawiał się nawet, coby to mogło znaczyć. Weszli do westybulu ozdobionego roślinami, w którym było czworo dzieci. Ahmed otworzył trzecie drzwi i wszyscy udali się na korytarz, oświetlony lampą wiszącą na ścianie. Znowu otworzono drzwi, znajdujące na końcu korytarza i czterej mężczyźni przeszli do obszernego pokoju, który mógł służyć za salon i sypialnię. Pokój ten, położony w głębi willi, nie miał okien. Przeznaczony był ostatnio za skład rupieci. Tegoż ranka Panajon i Ahmed znieśli tu wybrane z całej willi najlepsze meble, dywany, obrazy. Ustawili także kilka stołów i pozaświecali duże lampy. Pokój ten tak przybrany, przedstawiał się nader bardzo dodatnio.

— Stać! — rozkazał Panajon.

I dodał kilka słów po turecku.

Ahmed schwycił kufer za rączkę i pomógł Tetardowi postawić go. Herkules odetchnął głęboko, nie tyle ze zmęczenia, ile z przyzwyczajenia. Gdy żądano od niego najmniejszego wysiłku, zaraz zaczynał sapać, by okazać, że nie można od niego wymagać już nic więcej.

— I cóż? Ładnie tu? — zapytał Panajon. — Nic podobnego do klatki, w której gnił kardynał la Baluc?

— Istotnie, bardzo tu dobrze — potwierdził Maksym Duret.

— Mury są przyzwoitej grubości i niema tu innego otworu, jak tylko drzwi, prowadzące na korytarz, który znowu kończy się w westybulu — wykazywał zalety willi złodziej. — A powietrze nie będzie dochodziło wprost, ponieważ jedne i drugie drzwi zamykają się podwójnie... Będzie natomiast panowała tu łagodna temperatura i uniknie się przez to szkodliwych przeciągów.

Maksym Duret oglądał dokładnie pokój, by przekonać się, czy niema tu gdzie ukrytego przejścia. Tetard z otwartemi ustami przysłuchiwał się rozmowie swego pana. Herkules nie rozumiał jeszcze, co się dzieje i nie wiedział, co się mieści w tym kufrze. Ahmed, który nie rozumiał po francusku, stał nieruchomo, jak pień. Złodziej zaś nie przestawał mówić:

— Na ścianach znajdują się obrazy, które zastępują w zupełności okna... Przez szyby bowiem możnaby oglądać tylko bardzo smutny krajobraz, naprzykład zakątki parku z ogołoconemi z liści drzewami... Tutaj zaś mamy piękny widok na słoneczną zatokę neapolitańską... z dymiącym w dali Wezuwiuszem... A teraz proszę się zwrócić w tę stronę i podziwiać widok Hendaye... Hendaye, to druga zatoka neapolitańska, ale razem z Bosforem i weneckiemi lagunami, mamy tu bowiem zgromadzone w jednym zakątku i góry i morze i rzekę, rozmaite piękności najpiękniejszych miast na świecie!

Panajon znał to miejsce, był w niem bowiem kilkanaście razy. Hendaye jest mianowicie węzłową stacyą drogi Południowej francuskiej i Północnej hiszpańskiej. Na niej zatrzymuje się południowy Ekspres. W tym właśnie luksusowym pociągu zło-

dziej dokonał kilka swych świetnych operacyi przy pomocy chloroformu. Maksym Duret rozglądający się ciągle dokoła, jednem tylko uchem słuchał opowiadań swego wspólnika, który wreszcie zwrócił na to uwagę.

— Ej, Maksymie, ty pewnie sądzisz, że to co mówię, nıema znaczenia? — rzekł złodziej. — Mylisz się, drogi przyjacielu! Przyzwoite urządzenie gniazdka dla naszej pensyonarki jest bardzo ważną rzeczą...

Filantrop spojrzał na Panajona. Złodziej ciągnął dalej:

— Niewiadomo, co się może zdarzyć... A przypuśćmy, że wbrew wszelkim naszym środkom ostrożności, pensyonarce tej uda się stąd wymknąć... My się wtedy dostaniemy pod klucz...

Maksym Duret wstrząsnął się nerwowo.

— Jeżeli będzie wychudzona — tłómaczył Panajon — w łachmanach, pokryta robakami, z paznokciami chińskiemi i włosami a la Genowefa Brabancka, to los nasz zostanie zadecydowany z góry... Przysięgli jednogłośnie skażą nas na dożywotnie ciężkie więzienie... Jeżeli jednak wyjdzie stąd okrągła jak pulpet, to wtedy będzie inna sprawa... Wykręcimy się z tego krótkiem więzieniem... Dlatego też staram się o to, by niczego jej nie brakowało... by menu jej było zawsze starannie ułożone...

— Ma pan racyę — przyznał Maksym Duret.

— Co drugi dzień wielki zakład gastronomiczny będzie nadsyłał tu rozmaite smaczne potrawy.

— Bardzo dobrze!

— A teraz chodźmy, bo nie mamy tutaj co robić!

— Owszem, mamy.

— Nie, Ahmed otworzy sam kufer, gdy my stąd wyjdziemy.

I Panajon zwrócił się po turecku do byłego handlarza nugatami. Turek kiwał kilka razy głową na znak zgody. Potem złodziej opuścił pokój razem z Tetardem i Duretem i wszyscy poszli drogą, którą przybyli.

Trzej mężczyźni wyszli z willi nie zamieniwszy z sobą ani jednego słowa. Panajon przypominał sobie, czy nie zapomniał dać jakiego zlecenia Turkowi. Tetard domyślił się wreszcie, że w kufrze znajduje się osoba oddana pod dozór temu wielkiemu drągalowi z czerwoną czapką i był tem ogromnie przejęty. Maksym Duret, który szedł ostatni, przyglądał się złodziejowi i jego służącemu i rozmyślał:

„Już obydwaj teraz znają mój sekret... Nadchodzi czas, by ich sprzątnąć... Wolałbym załatwić się tylko z nim jednym... Wmieszał on jednak do sprawy i tego biedaka i teraz muszę załatwić się z obydwoma... Gdy się ich pozbędę, będę miał za wspólnika tylko Ahmeda... Ten przynajmniej będzie mi służyć wiernie bez żadnych podstępów... Mogę go bez obawy przywiązać do siebie... Nie będzie to trudnem... Muszę się tylko nauczyć po turecku... Weźmę się do tego... Panajon zasłużył sobie na los, jaki go czeka. W chwili, gdym mu zaproponował odgrywanie roli Karola Turnera, przewidziałem, co się stanie i nie robiłem sobie żadnych iluzyi co do jego zachowania i wymagań... z góry też ułożyłem sobie sposób, w jaki z nim skończę... Chciałem jednak być złym prorokiem i z przyjemnością wypłaciłbym mu dzisiaj umówioną nagrodę, gdyby postępował roztropnie, skromnie i grzecznie. Zgubiły go własne jego zdolności i zuchwałość... Zbyt pewnym jest siebie...“

Filantrop uważał się za mocniejszego od Panajona, nie przeszkadzało mu to jednak podziwiać go. Zachwycony był zwłaszcza ostatnim dowodem zręczności, jaką złodziej znowu okazał. Dwadzieścia cztery godzin wystarczyło mu, by wymyśleć, przygotować i uskutecznić wzorowe porwanie. Było to istotnie godne podziwu.

— W jaki sposób znalazł pan tak prędko willę odpowiednią dla naszych celów?

Maksym Duret nie mógł się powstrzymać od zadania tego pytania.

— Ach, ach! — zawołał Panajon. — Przyznaj się, że jesteś zdumiony.

— Przyznaję się — odparł prezes tonem nie zbyt wyniosłym.

Duret już nie oburzał się, gdy złodziej go tykał. Nie ograniczał się obecnie do rozmów tylko koniecznych. Upokorzył się. Panajon zauważył już tę zmianę. Starał się odgadnąć, co ona może znaczyć, nie był nią jednak wzruszony.

„To źle! — rozmyślał. — Z przyjemnością starałem się zawsze zadrasnąć jego dumę, nazywając go po imieniu! Wkrótce i klepanie po brzuchu będzie znosił cierpliwie... Będę musiał zrobić sobie przyjemność i poczęstować go kiedy kopnięciem!“

Odpowiedział głośno:

— Pytasz się, kiedym zdołał obejrzeć tyle willi, by znaleść tę wymarzoną?... Szukałem przedewszystkiem między willami umeblowanemi... Wiedziałem, że zimą będą one wolne... Potem sięgnąłem do swej pamięci... Ileż to ja znam uroczych zakątków w okolicach Paryża!... Plan tej willi pamiętałem doskonale...

— Tak?...

— Nic dziwnego! Nie tak dawno, jak ją okradłem!...

— Ach!...

— Tak... I właśnie z powodu mej wizyty właściciel opatrzył dobrze drzwi i posprawiał nowe zamki...

W chwili tej wszyscy znaleźli się przy wejściu do parku i Panajon pokazywał masywne okucia bramy.

— Nasz więzień — dodał złodziej — powinien się czuć tu zupełnie bezpiecznie... Może też tu jak najdłużej pozostawać...

XXII.

Samochód ruszył. Panajon siedział w dalszym ciągu przy kierownicy, mając przy sobie Maksyma Dureta; Tetard spoczywał wygodnie w środku na miękkich poduszkach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła M Sulima, Skawina.

Drugie wraz z pierwszem, napój dobry, miły,
W miarę użyty krzepi nasze siły,
Ale też czasem ha, często niestety,
Wobec złych skutków pierzchają zalety,
Bo gdy w toastach miarę przebierzecie,
Wnet na sumieniu będą drugie — trzecie
Na całość zwykle kumoski polują,
Te, z ich pomocą, po świecie kursują
Z nich wiele rzeczy z nas każdy się dowie;
Świeże, specyalne, codziennie w Krakowie!

Zadanie arytmetyczne.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Podane cyfry tak uporządkować, aby we wszystkich kierunkach, t. j. poziomym, pionowym i wzdłuż obu przekątni dały sumę 130.

2	4	6	8	10
12	14	16	18	20
22	24	26	28	30
32	34	36	38	40
42	44	46	48	50

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwsza, trzecia, czwarta,
Rzecz posłuchu warta,
O tyle, o ile, coś jak deklamacya.
Co do trzeciej z czwartą, w tych zawsze jest racya!
Pierwsze, drugie, trzecie usłyszysz w teatrze,
Tu uchem pochwycę, tam oczyma patrzę,
Bo bardzo to miłą rozrywkę stanowi
O której się długo i myśli i mówi.
Całość często życie ratuje człowieka
Lecz czasem go po niej niechybna śmierć czeka!

Zadanie do przestawienia.

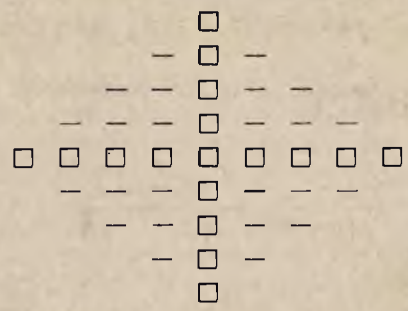
Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Gaj, Kalisz, lichwa, oko, sen, wódka, ż.

Kwadrat magiczny.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy pionowy i poziomy dał nazwisko nieżyjącego już polskiego kompozytora



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak śpiewający. 3. Rzeka wpadająca do morza Czarnego. 4. Bohater polski z czasów Jagiełły. 5 Szukany wyraz. 6. Wyspa na morzu Śródziemnem 7. Taniec polski. 8. Część głowy. 9. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył L. Feilschuss, Lwów.

Z każdego z podanych niżej wyrazów wyjąć po dwie obok siebie stojące litery, z ostatniego zaś tylko jedną i ułożyć z nich nazwisko zdarzenia, które w ostatnich czasach zajęło uwagę całego świata:

Jampolski, sport, framuga, kawaler, pralnia, prezydent, amputacya, oblewać, Mikul ńce, wątroba.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Boginie, mur, Niemiec, tło, udo, z, życie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Bolesława Prusa:* **Faraon.** Wydanie trzecie.

REBUS.



Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.